

KAMENIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN

NR 5 (111)

T R E Ś Ć

PAMIĘTNY KONGRES	1
FELIKS ARASZKIEWICZ: Juliusz Kleiner — człowiek i twórca	2
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI: Przypominamy Andrzeja Struga	5
EUGENIUSZ ZYTOMIRSKI: Nad morzem; Ars poetica; Sielanka	7
EUGENIUSZ GOŁĘBIEWSKI: Sprawa porucznika Wojki	8
JERZY MARKIEWICZ: Niedobre milczenie	11
ALINA RYBICKA-TOMASZEWSKA: Psychologia „konspiracji” dzisiejszej	14
JANUSZ DANIELAK I ZBIGNIEW STEPEK: Czy oni nie myślą: „Dlaczego wróciliśmy?”	17
AUGUSTYN PRZYWIECZERSKI: Katolik o „koniu grenadzkim”	19
CYTATA ZA METAFORĘ: Jose de Larra: Człowiek sądzi, a Bóg rządzi — przeł. <i>Maria Bechczyc-Rudnicka</i>	21
ALINA ALEKSANDROWICZ: Drobnomieszczaństwo czyli Wróg socjalizmu Nr 1	22
J. W. GOETHE: Nad rzeką; Sonet — przeł. <i>Stefan Żarębski</i>	24
WACŁAW GRALEWSKI: Śmierć, która nie jest zatrąta	25
JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI: Miasteczko nad rzeką	26
TADEUSZ FANGRAT: Pocztówka z wczasów w Balaton-Lelle	30
ROMAN ŚLIWONIK: ***	31
RYSZARD LISKOWACKI: Początek nauki; Poetom mającym własne ołtarze; Szeregowiec	32
ZBIGNIEW ŚL. J. LISOWSKI: Jak gdyby nigdy nic...	33
PODYSKUSYJNE IMPRESJE — <i>wk</i>	34
WINICJUSZ STOWAR: „Reportaż” liryczny	35
NIKTÓRE PROBLEMY HOTELI ROBOTNICZYCH — <i>wk</i>	36
STEFAN WOLSKI: Ballada o chłopcu z kawiarni „Pod czarcią łapą”	37
ZOFIA WYRWA: Teatr przyjechał	38
BRUNO JASIEŃSKI: Podręcznik dla poetów	40
DAWID BURLUK: Szerokim pędzlem malarz zachód... — przeł. <i>Maria Bechczyc-Rudnicka</i>	41

WŚRÓD KSIĄŻEK:

STANISŁAW STRUMPH-WOJTKIEWICZ: Szczególna książka	42
JANUSZ DANIELAK: Śmierć mieszczanina	43

NOTY:

Oto cytata; Jaki Faul zakneblował usta Brunonowi Jasięskiemu — <i>-kaj-</i>	44
---	----

WOLNA TRYBUNA:

List żołnierza BCH do Wicemarszałka Sejmu — <i>Jan Gilas („Mahatma”)</i>	45
--	----

CZYTELNICY POLEMIZUJĄ:

Na marginesie artykułu „Nikt nie wiedział” (głos nauczyciela) — <i>Józef Wiesław Zięba</i>	46
--	----

KONKURS LITERACKI

(3 str. okładki)

KAMENIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN, 1956

Nr 5 (111)

PAMIĘTNY KONGRES

DWADZIEŚCIA LAT MINEŁO OD PAMIĘTNEGO ZJAZDU LEWICOWYCH PRACOWNIKÓW LITERATURY I NAUKI, KTÓRY ODBYŁ SIĘ WE LWOWIE 16 I 17 MAJA 1936 R. ZJAZD TEN, POPULARNIE ZWANY KONGRESEM KULTURY, BYŁ WYRAZEM PROTESTU TYCH PISARZY I NAUKOWCÓW, KTÓRZY W OKRESIE ZWIĘKSZAJĄCEGO SIĘ WCIAŻ BEZROBOCIA, KRWAWYCH REPRESJI W STOSUNKU DO MAS LUDOWYCH I NARASTAJĄCEJ FASZYZACJI ŻYCIA W POLSCE WYSTĄPILI ZGODNIE W OBRONIE ZAGROŻONEJ KULTURY, SOLIDARYZUJĄC SIĘ Z WALCZĄCYM PROLETARIATEM I DOMAGAJĄC SIĘ DALEKO IDĄCYCH ZMIAN W POLITYCE KULTURALNEJ PAŃSTWA, M. IN. WŁAŚCIWEJ ORGANIZACJI SZKOLNICTWA DLA MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH, UNIWERSYTETÓW DLA UKRAIŃCÓW I BIAŁORUSINÓW I RÓWNOUPRAWNIENIA JĘZYKOWEGO NA TERENACH ETNOGRAFICZNIE MIESZANYCH. DZISIAJ PATRZĄC NA TEN KONGRES Z PERSPEKTYWY CZASU I W ŚWIETLE OLBRZYMICH ZMIAN, JAKIE ZASZŁY W ŻYCIU POLITYCZNYM, SPOŁECZNYM, GOSPODARCZYM I KULTURALNYM NASZEGO KRAJU, WIDZIMY W TEJ SZLACHETNEJ MANIFESTACJI NIE TYLKO PRÓBĘ LUDZI DOBREJ WOLI PRZECIWIstawienia się w imię humanizmu barbarzyństwu grożącemu naszej kulturze, ale i optymistyczną zapowiedź zwycięstwa tej kultury.

Redakcja

JULIUSZ KLEINER — CZŁOWIEK I TWÓRCA

Fala wydarzeń dziejowych osadziła profesora we wrześniu 1944 roku w Lublinie. Jeszcze miało rozlegać się odgłosami przechodzących wojsk na Zachód, jeszcze wojna była w najwyższym napięciu na wszystkich frontach, jeszcze na każdym kroku spotykało się ślady walk ostrych w naszym grodzie, a grono naukowców i literatów już przystąpiło do aktywnej pracy, organizując cykle odczytów publicznych, na które tłumnie uczęszczać

Każdym nerwem przeżywaliśmy wtedy narodziny nowego świata, zasłuchani w wieści z placu boju — i w prorocze słowa Mickiewicza, obwieszane przez natchnionego mówcę, ze znanstwem nieporównanym, a słowem tak pięknym, że podnosiło do wyżyn ekstazy.

Nadeszła potem ostatnia wojna, wreszcie majowa „wiosna ludów“, gdy w Berlinie zatknięto sztandary zwycięstwa.



poczęła inteligencja lubelska, składająca się wtedy, prócz miejscowych, z ogromnej ilości ludzi zagnanych tu losami wojny.

Jednym z pierwszych, który po pięcioletnim milczeniu przymusowym przemówił i czarem swego słowa opanował żądną wiedzy i piękną publiczność — był profesor Juliusz Kleiner. Nikt, kto bywał na jego prelekcjach, nie zapomni uroku, jaki sprawiał mówca odczytami o Mickiewiczu, o wizji księdza Piotra z III części „Dziadów“.

Nie mógł lepiej profesor wybrać tematu na ów czas osobliwy, kiedy cała ludzkość humanitarna patrzyła, sprężona w czynie wspólnym, na „drgające ciało dobijanego szatana“, kiedy umęczony naród polski, pławiąc się we krwi powstania warszawskiego oczekiwał spełnienia swych przeznaczeń.

Lublin, który odetchnął już wcześniej, pracował całą parą w dziele odnowienia życia naukowego i kulturalnego. W pracy tej objął jedno z miejsc przodujących i naczelnych żarliwy propagator idei Mickiewicza. Pozostał w gościnnym i rozumiejącym go mieście, jako profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Szybko wraść mocnymi więzami w środowisko kulturalne, nie tylko swoją dotychczasową sławą, ale także i przede wszystkim swoją niezwykłą osobistością. Wystarczy zaznaczyć, że skupił koło siebie kilka pokoleń pracowników naukowych, działaczy społeczno-kulturalnych, pisarzy, publicystów i literatów znanych czy dopiero początkujących. Powołał do życia Pierwszy Klub Literacki w odradzającej się Polsce, na dobrze przygotowanym podglebiu przedwojennych tradycji lubelskich,

a nowopowstały Związek Literatów jednomyślnie oddał mu kierownictwo swych spraw, które spełniał przez lat pięć aż do czasu wyjazdu do Krakowa na katedrę historii literatury w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Czym nas tak zniewala i ujmuje osobistość Kleinera? Właśnie tą wiarą w człowieka, z którą się styka, tą ufnością w dobre intencje, tym przekonaniem, że każdy ma jakieś wartości, które można przy sprzyjających okolicznościach wydobyć na jaw, by stworzyły czyn szlachetny i pożyteczny, czasem piękny i może niezwykły.

Ta chrześcijańska postawa, praktyczna, choć nie dająca materialnego dobrobytu, postawa, o której wiele milionów ludzi zapomniało w czasie zmagaj wojennych, postawa istotnie humanistyczna, wpływa z organizacji duchowej, z tradycji wychowania rodzinnego, z zainteresowań i ze wszystkich dzieł, dokonanych przez profesora w ciągu całego życia.

Obdarzony wyjątkową inteligencją, pogłębiona przez fenomenalną pamięć i twórczą wyobraźnię, umie on sięgać rozumem w tajniki zagadnień wielkich i subtelnych, które rozwiązuje obiektywnie i śmiało, zawsze licząc się z wynikami dociekań swoich poprzedników. Wrażliwa uczuciowość, nie manifestowana na zewnątrz, systematycznie i harmonijnie zespala się u niego z nakazami etycznymi, które kierują jego postępowaniem i pracą w ten sposób, że wybór jego zainteresowań naukowych czy społecznych idzie zawsze po linii tych przedmiotów czy osób, czy idei, które warte są miłości.

Profesor, afirmując życie, nie zatrzymuje się nigdy nad błotem i cuchnącymi sadzawkami, lecz zwalcza zło i brzydotę, czyniąc dobro i piękno. W tym leży jego europejskość kulturalna w najlepszym znaczeniu tego słowa. Z tego płynie jego stosunek do ludzi i spraw na co dzień i na dystans dalszy. Nigdy nie dźwięczy, w stosunkach prywatnych czy publicznych, ani w dziełach jego — ironia złośliwa, prześmiejch, kpiny. Dlatego jest on urodzonym i świadomie przez siebie wydoskonalonym pedagogiem, co stosunkowo rzadko zdarza się profesorom uniwersytetu.

Kleiner należy do tych rzadkich ludzi, którzy umieją cieszyć się z każdego kielkującego ziarna, którzy pieczołowicie hodują wschodzące nasienie, kierują z umiarem, jakby bezosobowo, wzrostem rośliny — ducha, a z prawdziwą rozkoszą wdychają aromat jego kwiatu. Dzięki tym właściwościom profesor zawsze zachowuje świeżość i urok młodości ducha, tak niezbędne cechy przy jego pracy intelektualnej i wychowującej.

Między słowami a czynami profesora panuje niezachwiana harmonia, która wywodzi się z umiejętności świadomego opanowania, wykreślenia i wytyczania zamierzeń i dążeń. Kleiner czyni to, co chce, a nie to, co mu narzuca świat zewnętrzny, a więc należy on do naprawdy wolnych ludzi.

Droga życiowa profesora jest nieustannym wspinaniem się wwyż, obejmowaniem coraz szerszych

horyzontów wiedzy, torowaniem samodzielnych kierunków badawczych, zdobywaniem zasług, które na stałe są i będą związane z jego imieniem.

Dorobek pisarski Kleinera, łącznie z pracami i artykułami publicystycznymi, liczy dziś około 900 pozycji bibliograficznych, co wskazuje na niezwykłą intensywność i płodność autora, a może iść w porównanie tylko z Aleksandrem Brücknerem. Ale nie ilość pozycji, oczywiście, jest decydującym czynnikiem w oznaczaniu miejsca w nauce i literaturze dla Kleinera. Profesor jest badaczem literatury, jako jej historyk, analityk, syntetyk i teoretyk. Wydaje również szereg rozpraw ściśle filozoficznych, społeczno-literackich, jest krytykiem literackim i publicystą, a przede wszystkim jest niezrównanym prelegentem, mówcą, który zdumiewa słuchacza wspaniałością, pięknem, a jednocześnie ścisłością kilkugodzinnych nieraz wykładów. Cała, zresztą, twórczość piśmiennicza Kleinera odznacza się również tymi cechami języka i stylu, które zazwyczaj posiadają tylko literaci-twórcy, a rzadko naukowcy. I cały ten proces wypowiedzi odbywa się tak spontanicznie, pozornie tak bez wysiłku, że aż oszałamia. Bo profesor jest poetą, a język mu gra, jak instrument, nad którym panuje mistrz. Wrażliwość estetyczna bije z każdego zdania, a całość wykładu wybrzmiewa akordem przedziwnej harmonii, gdzie treść staje się formą, a forma treścią.

Może właśnie z tej specyficznej wrażliwości wypłynęły u Kleinera jego zainteresowania Słowackim, że dał o tym pocie monografię, na jaką dotąd nikt się nie zdobył. Polot i muzykalność, przenikliwa myśl analityczna i kapitalna synteza stworzyły monografię — poemat o twórcy „Króla-ducha”.

Budowa własnej teorii poznania, własnego poglądu na świat, sądzę, popchnęła Kleinera do przeorania dociekliwą analizą dziejów myśli Zygmunta Krasieńskiego. Po stronicznej książce Tarnowskiego, dopiero Kleiner przedstawił nam obiektywny obraz życia duchowego twórcy „Nieboskiej” i „Przedświtu”, a przy tej okazji stwierdził tę ważną prawdę o romantyzmie, że „to, co gdzie indziej w chorobie się przerodziło, w Polsce było właśnie reakcją pełni, żywotnych sił organizmu narodowego, było lekarstwem koniecznym i jedynym”, że „romantyzm czuł i rozumiał w całej pełni tragedię myśli”.

Charakterystycznym rysem Kleinera jest jego stosunek do badaczy poprzedników danego zagadnienia. Profesor nie usiłuje być rewelatorem, od którego dopiero zaczyna się właściwa wiedza o przedmiocie, on wprzega w swą robotę cały dorobek cennych kulturalnie tradycji, stąd jego pietyzm nie tylko do wielkich poetów, ale także do badaczy naukowych, jak Małeckie, Chlebowski, Wojciechowski, Chmielowski, Kallenbach, Bruchnalski. Świadczą o tym specjalne studia im poświęcone.

Kleiner tworzy rzeczy nowe na starych, nie jest burzycielem, lecz kontynuatorem, a przez takie właśnie stanowisko jeszcze bardziej przekonywa w swoich zdobywczych wynikach. Najdobitniej to się przejawilo w monografii o Mickiewiczu, której tom I wyszedł w roku 1934, a całość w r. 1948. Uroczysto ci i dyskusje w jubileuszowym roku Mickiewiczowskim potwierdzają całkowicie pogląd Kleinera, że „konieczne jest ponowne zdobywanie Mickiewicza przez pokolenie, żyjące w innych podstawach bytu zbiorowego“.

Jak wrażliwość estetyczna pociągnęła Kleinera ku Słowackiemu, jak przenikliwość teorio-poznawcza i metafizyczna — ku Krasińskiemu, patriotyzm i obywatelskość — ku Mickiewiczowi, tak myśl etyczna, o charakterze ogólnoludzkim — pchnęła go do badań nad Goethem i nad Sofoklesem. Studia nad tymi znawcami tragedii człowieka zachowa na zawsze czytelnik w wiernej pamięci.

Inna przyczyna skłoniła Kleinera do zajęcia się twórczością Krasickiego, któremu poświęcił szereg rozpraw, wydanych w rb. ponownie przez Ossolineum w osobnej książce razem z rozprawami o Fredrze. Chodziło tu o ostateczne wyjaśnienie wartości poezji zintelektualizowanej, o skonfrontowanie zasad teorii literatury, głoszonej przez profesora, z dziełem tego klasyka bajek i przypowieści. „Wielka twórczość zawsze będzie opanowaniem życia. A życie opanować — to znaczy zrealizować w teorii i w praktyce fikcję intelektualną“ — powiada Kleiner w „Studiach z zakresu literatury i filozofii“.

Formalno-teoretyczne rozważania profesora o literaturze i badaniach literackich zajmują wiele miejsca wśród jego prac. Niesposób omówić ich nawet pobieżnie w krótkim artykule. Zacytuje tylko dwie wypowiedzi.

Pierwsza — o treści i formie poezji: „To, co staje przed świadomością artysty, jako gotowe, dane,



Prezes Juliusz Kleiner w gronie członków Lubelskiego Oddziału ZLP.
Zdjęcie z dnia 28.VI.1949 r.

Na zdjęciu: Wacław Gralewski, małżonka prezesa Maria Kleinerowa, Juliusz Kleiner, Maria Bechczyz-Rudnicka, prof. dr Leon Białkowski, Helena Platta. Stoją: Jerzy Pleśniarowicz, Eugeniusz Gołębiowski, Włodzimierz Chelmiecki, ks. dr Ludwik Zalewski, Feliks Araszkiewicz, Kazimierz Andrzej Jaworski, Józef Nikoden Kłosowski, Stefan Wolski, Zbigniew Piotrowski.

Syntezę literatury polskiej stworzył profesor w niemieckim opracowaniu pt. *Polnische Literatur*, drukowanym w *Handbuch des Literaturwissenschaft* Oskara Walzela w r. 1929, a potem w „Zarysie dziejów literatury polskiej“ dla liceów w r. 1939. Rozpoczęte w r. 1924 wydawnictwo „Dzieła wszystkie Juliusza Słowackiego“ kontynuuje i wykańcza obecnie w Ossolineum.

jest treścią — to, co staje wobec świadomości, jako zadane, co wymaga czynności kształtującej, jest formą“ — „wszystko jest formą i wszystko jest treścią — to nie paradoks“.

Druga: „Wiedza o literaturze staje się jednym z głównych czynników w kształtowaniu ogólnego, filozoficznego poglądu na świat, bo dydaktyczność tkwi w literaturze tak samo, jak tkwi w jej

istocie wyrażanie przeżyć własnych czyli liryzm, bo w literaturze realizuje się świąt pragnień“.

Proste, jasne i prawdziwe sformułowania.

Znajdujemy ich setki w rozważaniach teoretyczno-literackich autora książki „W kręgu Mickiewicza i Goethego“ (1938), a syntezą jest rozprawka pt.: „U wrót nowej estetyki“, w której autor przeczuwa narodziny nowego stylu sztuki w ogóle, gdy mówi: „Może krzyk barbarzyński dzisiejszego pokolenia, rażący ucho kultury przedwojennej, jest wołaniem o wielką twórczość, która by przekomponowała całe życie zbiorowe i w dzieło sztuki zmieniła całą rzeczywistość“.

Zdanie to wyrasta wprost z wykładów Mickiewicza, z Promethidiona Norwidowego i posiada znamiona wieczystości.

Badacz, uczony, poeta, obywatel, człowiek — najpełniej w syntetycznym skrócie, w jakimś pionierze natchnionej mądrości i w błyskawicy słowa, przejrzystego jak kryształ, objawił się w arcydziele kunsztu pisarskiego — gdy profesor tworzył swoje studium o Janie Kasprowiczu pod wrażeniem zgonu twórcy „Księgi Ubogich“ w r. 1926.

Od tego czasu Juliusz Kleiner przebywa już stale na szczytach, na których wizje odkrywcy i natchnienia artysty stapiają się w jedność tworzącą wiedzę i sztuki.

50 lat temu, jako dwudziestoletni młodzieniec, ogłosił Juliusz Kleiner pierwszą swoją rozprawę pt. „Patriotyzm Słowackiego“ (w „Bibliotece Warszawskiej“). W r. 1912 habilitował się jako do-

cent historii literatury polskiej we Lwowie na podstawie dzieła monograficznego o Krasińskim. W nowozałożonym Uniwersytecie Warszawskim (w r. 1916) objął katedrę historii literatury polskiej, po I wojnie wrócił do Lwowa, gdzie wykładał aż do wybuchu drugiej wojny światowej. W r. 1944 objął katedrę polistyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, którą opuścił w r. 1949 przechodząc do Krakowa.

Profesor Juliusz Kleiner wykształcił i wychował setki polonistów i dziesiątki badaczy naukowych. Świat nauki i literatury polskiej szczeni się wielkim swym uczniom i pisarzem: profesor był członkiem PAU, Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Towarzystwa Naukowego Lwowskiego oraz Polskiej Akademii Literatury — i jest członkiem Polskiej Akademii Nauk i Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Rząd Polski Ludowej w uznaniu zasług nadał Jubilatowi w roku Mickiewiczowskiemu order Sztandaru Pracy I klasy.

Poloniści i literaci lubelscy, mając w głębokiej i serdecznej pamięci Osobę Jubilata, który tu, w Lublinie, przewodził naszemu życiu kulturalnemu przez lat pięć, składają Mu wyrazy czci i przywiązania wraz z życzeniami.

Ad multos annos!

17. V. 1956 r.

Feliks Araszkiewicz

Kazimierz Andrzej Jaworski

PRZYPOMINAMY ANDRZEJA STRUGA

Dzisiaj, gdy w wielu dotychczasowych poglądach na różnych odcinkach życia Polski Ludowej przeprowadza się gruntowną nieraz korekturę, gdy na łamach prasy, w pismach literackich ukazują się nagle nazwiska, z tych czy innych, często niezależnych od nas względów dotychczas przemilczane, nazwiska jednak ludzi, jak się okazuje, żywych w sercach naszych i pamięci, gdyśmy w poprzednim numerze „Kamenu“ wywołali z przeszłości piękną postać Jana Hempla — czas wielki upomnieć się i o drugiego syna Lubelszczyzny: nieskazitelnego człowieka, niezłomnego obrońcę prawdy i sprawiedliwości, świetnego pisarza — Andrzeja Struga.

Za życia był autorem, z którym liczyć się musieli i najwięksi jego przeciwnicy, po śmierci okrył żałobą nie tylko literaturę, ale całą Polskę; w cywilnym jego pogrzebie wzięli udział przedstawiciele różnych warstw społecznych, różnych zawodów i narodowości — artyści, literaci, inteligencja, robotnicy, chłopci, obok Polaków — Żydzi, Ukraińcy, Białorusini: odprowadzano na wieczny spoczynek człowieka, który stał się symbolem demokracji; nad

grobem odśpiewano „Marsylianke“; Broniewski, Słonimski, Szymański i inni poeci złożyli mu hold w wierszach; w prasie ukazały się o nim liczne artykuły, a niektóre pisma wydały specjalne numery poświęcone jego pamięci; w Warszawie odbyła się uroczysta akademія ku czci zmarłego, na której Zelwerowicz czytał fragmenty jego utworów, a przemawiali pisarze z różnych obozów politycznych od prawicy po lewicę; staraniem Poradni Bibliotecznej przy Związku Bibliotekarzy w gmachu Warszawskiej Biblioteki Publicznej otwarto wystawę pracy literackiej i społecznej Struga.

Upłynęło kilkanaście miesięcy, wybuchła wojna a wraz z nią nadszedł okres okupacji, aż wreszcie powstała Polska Ludowa. Zrazu cofając się w niedawną przeszłość i wywołuje przed oczyma zgłodniałego czytelnika postacie przedwojennych ministrów polszczyzny, pisma literackie nie zapomniały i o Strugu. Zaznaczyło się to zwłaszcza w dziesiątą rocznicę jego śmierci, kiedy to „Nowiny Literackie“ zamieściły o nim aż trzy artykuły (M. Borowicza, pod znamienym tytułem „Książki Struga na wier-

nej służbie", J. Maliniaka i L. Bartelskiego), „Odrodzenie" poświęciło pisarzowi pierwszą kolumnę, wypełniając ją fragmentami artykułów zamieszczonych po śmierci Struga w „Sygnałach" i „Wiadomościach Literackich", a „Kuźnica" wystąpiła z artykułem Kubackiego, zawierającym ryzykowny wniosek, że „przy wszelkich pozorach twórczości społecznej Andrzej Strug ani z temperamentu ani z postawy artystyczno-ideologicznej, nie był pisarzem społecznym". A potem o autorze „Ludzi podziemnych" wspomniano coraz rzadziej, aż umilknięcie o nim zupełnie. I oto upłynęło już jedenaście lat istnienia Polski Ludowej, wydajemy klasyków w imponujących nakładach, wznowiliśmy Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Zeromskiego, ba, nawet Sewera, odkryliśmy zapomnianych pisarzy, przy pominięciu Skibę, Niedźwieckiego, a Strug jakby nie istniał... Bo przecież nie można go skwitować jedyną reedycją — „Żółtym krzyżem".

Jakżeż to się stało, że nasze powojenne pokolenie kształtujące życie socjalistyczne nie może dotychczas poznać wielkiego eposu Struga o walkach klasy robotniczej z caratem, o jej bohaterskich zmaganiach w dążeniu do socjalizmu, wolności i niepodległości, że nasza młodzież wychowywana w ideałach pokoju nie czytała „Klucza otchłani", że nie tylko nie zna dzieł Andrzeja Struga, ale prawie nic nie wie o wspaniałej postaci ich twórcy — syna ziemiańskiego, który oddał swe życie na usługi socjalizmu, broniąc partii przed rozłamami i zawsze podkreślając wagę jedności w ruchu robotniczym, więźnia X Pawilonu, zesłańca archangielskiego, bełniaka, który nie dosłużył się szarży oficerskiej i nie dyskutował nigdy swej krótkotrwałej przeszłości legionowej, senatora, co przeciwstawił się w Polsce ludziom, z którymi był dawniej powiązany, protestując przeciwko Brześciowi i Berezie Kartuskiej, pisarza, który odmówił członkostwa w sanacyjnej Akademii Literatury, prezesa Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, pacyfisty i wroga kapitalizmu, którego zgniliznę moralną odsłonił w „Pieniądzu" i „Miliardach".

Andrzej Strug, a właściwie Tadeusz Gałeczki, urodził się w Konstancynie pod Lublinem, uczęsz-

czał do lubelskiego gimnazjum rosyjskiego za dyrekcji oślawionego Siengalewicza, kształcił się w puławskim Instytucie Gospodarstwa Rolnego, był przez pewien czas uwięziony na Zamku Lubelskim, w pierwszym rządzie polskim, tak zwanym lubelskim, zajmował stanowisko wiceministra propagandy — dlatego też lubelska „Kamena" ma przede wszystkim obowiązek upomnienia się o niego.

Ten, o którym Wanda Wasilewska pisała: „Dojdzie do Andrzeja Struga człowieka krzywdy i człowiecze ciężkie westchnienie. Rzuci zawsze Andrzej Strug na szalę swoje nazwisko w każdej słusznej sprawie... Nie pójdzie nigdy Andrzej Strug na żaden kompromis, nawet na ten najłatwiejszy — kompromis z samym sobą. Nie zaprze się niczego ze swoich prawd i zawsze życiem swoim da prawdziwe świadectwo. Pewność nieomylna, honor nieugięty, wytrwanie i wiara — to jest Andrzej Strug" — nie może być w Polsce Ludowej zapomniany.

Tego, któremu Władysław Broniewski poświęcił piękne strofy:

*To On nam przekazał pogardę
dla niepełnego zwycięstwa,
On nas słowem szlachetnym i twardym
nauczył męstwa.*

*On był z tych, co uczyli czynem
w człowieku poznawać brata,
bojownikiem, republikaninem
wolnej ojczyzny świata.*

*Zapożyczymy od Niego miary
mierząc Polskę młota i pługa.
I głęboko pochyłmy sztandary
nad trumną Andrzeja Struga.*

musi znać pokolenie polskie.

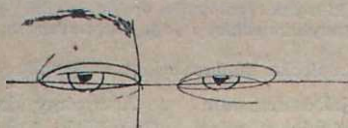
W końcu przyszłego roku przypada dwudziestolecie śmierci pisarza. Jesteśmy pewni, że do tego czasu PIW albo „Czytelnik" obdarzy nas zbiorową edycją lub przynajmniej większym wyborem pism Andrzeja Struga.

Kazimierz Andrzej Jaworski



Eugeniusz Żytomirski

NAD MORZEM*)



Morze, wiadomo, barwę swoją zmienia
Stosownie do pogody i do pory:
Inne, na przykład, w słońcu, a w promieniach
Księżycy — inne znowu ma kolory.
Ale piękniejsze niż te barwy, których
Słońce i księżyc, błękit czy też chmury
Morzu używać zwykły, są odcienie,
Jakimi ludzkie darzy je spojrzenie.
Dla tej dziewczyny z wczasowego domu
Morze ma kolor jej młosnych marzeń,
A dla kobiety o wędnącej twarzy —
Kolor młodości. Kształtem jest ogromu
I świata barwą morze w oczach dzieci,
Oczach zachwyty pełnych, lecz i strachu.
Rybak, żegnając słońce, nurza zachód
W morzu nadziei i wezbranych sieci.
Bo sama z siebie stygnie morska fala
W rys obojętny barwnej fotografii —
I wzrok jedynie, uczuć naszych malarz,
Uchwycić w żywy obraz ją potrafi.

1955

ARS POETICA

A kiedy już wszystko dokładnie przemyśle,
Gdy wszystko rozważę sumiennie i ściśle,
Gdy słowa każdego znaczenie wymierzę,
Wylewność poskromię surowo i szczerze,
Nieważne pomnę, niejasne wyrzucę,
Gdy wszystko poprawię, wygładzę i skrócę —
Wtedy wymknie się to, co najważniejsze.

1955

*) Z wyboru wierszy lirycznych 1928—1955 pl. „Liryki”, który ukaże się wkrótce nakładem „Czytelnika”.

SIELANKA

Na łące obok drogi, co prowadzi
Ku barokowym, niegdyś dworskim murom,
Pasą się krowy. Liście palą w sadzie,
Dym płynie dołem, a obłoki górą.

Miękko zachodzi słońce nad idyllą.
Brzmi Laury śmiech. Wśród dzikich róż ukryta,
Patrzy: pod lipą pasterz leży, Filon.
Lecz na fujarce nie gra. Książkę czyta.

1955

Eugeniusz Żytomirski



SPRAWA PORUCZNIKA WOJKI

Zapoznajemy Czytelników z fragmentem nowej powieści Eugeniusza Gołębiowskiego noszącej tytuł „Przygody królewskiego piechura”, którą przygotowuje do druku Sp. Wyd. „Czytelnik”. W książce przedstawione są przygody oficera chorągwi wybranieckiej i jego towarzyszy na tle wydarzeń historycznych z czasów Jana III-go.

Jest rok 1682 — chorągiew wybraniecka, stojąca załogą w Sanoku, otrzymuje nowego dowódcę (Red.).

Stanął infanteria królewska na dziedzińcu zamkowym, aby Rotmistrzowi Gogolińskiemu parol przy bębnoch odprawić. Karetą we czworo koni w kapturkach zajechał, a za nim wóz czworo ze zbrojami i żelaziwem wojennym oraz kurzejów dwoje jednakich konno. Staje kareta, doskakuje jeden kurzej, drzwiczki otwiera i wygarnia się z karety dziwo blaszane, pan w zbroicy czerwony na pysku jak burak, w hełmie z piórami na dwa łokcie, w blachach i z mieczem takowym, jaki miał ów Anioł, którego rodziciele pierwszych z Raju wyznęł. A tak się wznaszał, iżemy nie wiedzieli, czy to od pychy, czy go pod blachą wesz kasa. Stawa purpurak na stopniu karety, pod boki się bierze i nie na nas, jeno na swego pacholca patrzy, a ten mowę ma taką: Jaśnie Wielmożny Panie Rotmistrzu! Siadasz na hetmaństwie sanockim a owo wojsko twoje łaski uprasza, abyś mu hetmanił i wielkoduszność okazał raczył. — Tak to ów kurzej grzmiał, a na końcu po łacinie jeszcze coś przydał. Tamten głową pokiwał, kontentacją okazał i, wojsku mieczem machnąwszy, zawoła: Otom jest! brachium regale! a to znaczyło tyle co ramię królewskie, a dalej tak ciągnie: Ramię moje mocarne jako samostrzał miedziany! myśl moja leci jako z arkabuza! co rzekę, to będzie!... a dalej już tylko po łacinie gadał. Skończywszy rozejrzał się, a że się nikt nie odezwał, tedy trąbić kazał i w bębny bić a machać porporem i biegać tam i sam. Wojsko się dziwowało, bo takowej monstracyi jeszcze nie zaznalim. Kocie to było monstrowanie i zaraz kaźden wiedział, że zna się pan Gogoliński na wojsku jako wilk na gwiazdach.

Po monstrowaniu kazał pan Wojko wynieść stoły na podwórzec i do dzbanków siedliśmy a i pana Rotmistrza poszli prosić starzy dziesiętnicy. Wyszedł, stanął nad nami na wschodku i znowu swoje: Jam jest brachium regale! ramię moje potężne jako samostrzał miedziany! — słowo moje jako z arkabuza bije!

Nie zdzierzył Franulek i jak to on na głos powiada: Prokuretur rektum, babaretur tektum a na arfie mucha grała! A Gogoliniec: Coś rzekł? Tedy nasz sowizdralus dwornie panu się kłania i w te słowa: Jaśnie Wielmożny Panie Rotmistrzu! rzekłem, iż tak mówicie cudnie, jakby kto na arfie grał.

Byłby się tym ukontentował głupiec Gogoliński, ale mu Gryśo szepnął coś do ucha i pan się rozsierdził, do stoła nie siadł, jeno do pana Sędziego poszedł i w tryktraka potem grali na komnacie.

A myśmy do wozów poszli, które przywiózł Gogoliński i dziwował się pan porucznik Wojko, co by były za harnasze i kirysy a karwasze. Za czym kurzeja pyta, ku czemu te zbroje. A kurzej strzelił ślepiem, które jedno miał krzywe, a fuknie: Nie wasza, jeno Rotmistrzów sprawa!

Wiedział pan Wojko więcej, niżli się kurzejowi zdawało, bo nam potem tak powiadał: Wendetarze sprzedają po grodach rdzę, stare zygmuntofskie żelazivo i rupiecie pana Chodkiewicza pamiętające a chytrzy mistrzowie chorągwie swoje rdzą ubrajają i dukaty, co im daje pan Podskarbi, sobie do kalety tkają. Żołnierzowi zaś bieda, bo kasa stare żelazivo i nic w nim nie wywojuje infanterya.

Zaraz na drugi dzień pocharkał się pan Wojko z Rotmistrzem o te blachy. Stanął Gogolińczyk w kordygardzie i z góry do pana Wojki coś krzyka a ten: Stoją na dziedzińcu wozy z żelazami, zali Wasza Miłość każe odesłać te rdze do wendetarza? Na to Gogoliński: Nie dla wendetarza zbroje przywiezione, jeno dla regimentu, nie gemajnow mi trza, jeno rycerstwa kowanego a hucznego. — Tedy pan Wojko: Wasza Miłość! nie blacha czyni hucznego rycerza i ordynacya insza jest w infanterya a insza w kompucie pancernym. Krzyknie wtedy Rotmistrz: Będziesz mnie tu uczył ordynacyi? Takowy będzie mój uł, jak mnie się zda. — Wtedy i pan Wojko zgrzytać jął i szarpać wasa: Wasza Miłość! owo wojsko nie wasze jest, jeno Jego Królewskiej Mości! Tamten jak nie tupnie: Moje arkebuzery! — i w stół pięścią bije a pan Wojko: Nie arkebuzery — jeno wybrańcy! i nie wam do wybranieckiej ordynacyi, królewska ona a nie gogolińska! Wtedy Rotmistrz zawoła: Czekać, chامية, ja cię nauczę mores! — i z kordygardy wybiegł. Pan Wojko dwakroć podskoczył ze złości i do mnie: Siadasz i pisz! Żalobę pisz do Hetmana! Złapałem za pióro i do pisania zaraz siadłem, a list napisałem taki:

„Jaśnie Wielmożny Panie Hetmanie Wielki Koronny! Chorągiew wybraniecka na prezydium sanockim będąca, żalobę do Waszej Wielmożności wnasza o to, że nie wedle ordynacyi hetmańskiej, jeno wedle samowoli pana Rotmistrza Gogolińskiego źle sprawuje się szafarstwo w regimencie. Ten starych i zardzewiałych żelaz od wendetariuszów kupiwszy, odziewać chce żołnierza piechoty wybranieckiej w zygmuntofskie kirysy a to wbrew protestacyi wiceprefekta, służącego porucznika infanteryi królewskiej, Celestyna Wojki, który rzecz

istą daremnie tentował klarować JMP Rotmistrzowi. Tedy żalobę niniejszą wnaszamy, tę sentencją przydając, iż nie ku chwale Jego Mości Króla będzie stawał wybraniec odzian w starożytną rdzę, jeno ku krotofili nieprzyjaciół Korony i Krzyża świętego, co znakami własnymi i manu propria attestują dziesięćnicy chorągwi sandomierskiej". — A i jam rzecz manu propria, czyli własną ręką podpisał.

Wszyscy podpisali, jak kto umiał, jeden krzyżem, inszy literami, Gryś nie chciał. Od niego się pewnikiem dowiedział Rotmistrz o liście, bo zaraz przysłał do pana Wojki kurzeja i ten go we cztery oczy praktykował a molestował, aby listu nie wysłać. Ale się uparł pan porucznik i tegoż samego dnia list posłano.

Na drugi dzień wozy z blachami odjechały i jakoś je tam pan Gogoliński po cichu sprzedał wendetarzom a my na respons hetmański czekaliśmy.

Od owych blach poszła złożyć pana Gogolińskiego na wszystko wojsko, a największa na pana Wojkę. Ale było tak, iż każdy żołnierz za wiceprefektem gotów był obstawać i nawet gardło dać. Jeden Gryś w komitywę wszedł z Gogolińcem i dwójkiem jego kurzejów i zawsze razem ich wdziałem przy kufłu czy tryktraku. Pan Sędzia Karwowski w porę się spostrzegł i ze dwa razy w tryktraka z Gogolińcem pociągnawszy, poswarzył się z nim i po staremu panu Wojce był rad, a na gogoliństwo powstawał. Ale największa bieda miała dopiero przyjść. Zaczęło się od biegania po błotach i od szukania wiatru w polu. Skakał pan Gogoliński na srogim ogierze przez płoty, skakali za nim kurzeje a i lud piechotny za nimi skakać musiał i jęzory w biegu za panem wywieszał.

Owo: skakałby człek i przez piekielne płoty, ale niechby wiedział za czym skacze, niechby wiedział, że z nieprzyjacielem sprawa a nie z plotem albo wierzbina. Widziało to kto, żeby infanterya królewska berdychami na wierzby następowała? Harcowanie zgoła nie wojenne było jeno żakowskie, kiedy to dziecię konika dosiędzie, biega, mieczykiem macha, bo mu się zdawa, iż wielką rzecz czyni a każdy kołek nieprzyjaciela.

Unaszał się po polach Gogoliński z Gogolina a jak mu który gemajna skwirknął, to zaraz o samostrzale miedzianym krzykał, prawem wojennym i kurzejami groził, iż na łańcuch wzięty będzie ten, któren bieganiu nie rad.

Sierdził się pan Wojko, jawnie krzyczał na śleporodów i herodynów, błazeństwo całe ukazywał gogolińskie a tamten jeno się marszczył i o dzbanie mówił, któren póto wodę nosi póko ucho się nie urwie, ale jawnie powstawać przeciwko staremu nie śmiał, bo wiedział, że ma pan Wojko mir w wojsku i źle by się skończyła spierka, boć i z listem do Hetmana pobieżano. Po cichu jednakże knował, o czym wdziałem, bo nam pan Żurkowski to i owo szeptał. Z poczciwości szeptał, bo sam krzywym okiem na gogolińskie błazeństwo patrzył.

Ale to wszystko fraszki jeno były. Największa bieda nastąpiła, kiedy się Rotmistrz z panami okolicznymi zwąchał, z Księżopolskimi z Hoczwi, z panem cześnikiem Sawą z Czertaża i z panią Kożuchowską strachocińską. Skończyło się wtedy wojenne błaznowanie i zaczęły jazdy po dworach, i już nie królewska byliśmy piechota, ale gogolińska assystyśmy. Mają panowie we zwyczaju dla większej pompy z pocztami jeździć po kraju, ajduków i węgrynków uzbrajają w mieczyki i pozory czynią wielkopolskie. Tedy i my w takowy poczet obrócenia zostaliśmy i na dziedzińcykach dworskich musiała infanterya monstrować, w gładach stawać, chrzęsty czynić bronią a onże Gogoliński z Gogolina na ten czas unaszał się ponad wszystkich, ogierem robił i o samostrzale miedzianym hucał — oraz zgoła jak hetman o koronnych sprawach gadał a krzykał.

Spadły śniegi. Wojsko w dziurawych butach i podartych żupanach było, ale bez assystencyi się nie obszło.

W same gody musiała piechota z luczycami biegać za saniami pańskimi aż do Sana i tam znowu skoczyli na siebie pan Wojko i Gogoliniec. Lód słaby był. Co lżejsze sanie przejechały po nim, ale te większe stanęły, bo pod nimi pękało i już furmani nie wdziałem jak obrócić zaprzęgiem, aż tu bieży Gogoliniec i każe chłopom brać sanie na plecy. Pan Wojko woła: Stój! Stój! a do foczmana: Zawracaj gawronie! Wściekł się o to pan Gogoliński, bo sprawa w przytomności tamtych państwa była. Dobywa miecza i ciąć chce a kurzeje króćce na pana Wojkę obracają i jużby się tam krew polała, bo i pan Wojko za pistolec złapał, aleśmy co przedziej doskoczyli i, sanie na bary wzięwszy, wynieśli na brzeg. A już pora była, bo się płozy do wody osuwały. Wyszli państwo z przygody sucho, ale wojsku kąpiel się dostała solenna przy grudniowym mrozie. Przebieżeliśmy jeszcze ze dwie wiorsty do Sanoka i dopiero suszyć się w gospodzie pod Kozackiem.

Nie żalowała nam Margoliczka gorzalicy a że chłop każdej biedzie zdziery, to się jeszcze na krotofilu skończyło, kiedy to golcy podle komina Margoliczki siedli i kwartę po kwarcie spełniali. Sanoczenie i sanoczanki zesłi się patrzeć na dziwo, ale skoro im powiedziano, jaka była przyczyna kąpeli, to każdy zgryzał na pańską swawolę.

Dość już mielim zabawy. I każdy już by wołał płoskirowską drogę niż owo pachółkowanie. Tam wdziałem, żeśmy wojsko i że jak będziemy tego bili, to pobijem a w Sanoku toś był sługa gogoliński i nigdyś nie wdział, kiedy cię pan ochwaci.

Na Nowy Rok znowu było służbowanie. Podle dwora panów Księżopolskich stanąć musiała infanterya na mrozie takowym, że i psa byś nie wyznął z chaty a tu stój od wieczora aż do północy, bo się panom zachećciało wiwatów i strzelby nocnej na powitanie nowego roku a jeszcze przygadawał pan Gogoliński, aby ochoczo było i z pohukiwa-

niem na zdrowie pańskie oraz rotmistrzowskie. Radować nam się kazaly psiekrwie, iż jem dobrze, i krzykać wiwat na zdrowie księżopolskie, cześnikowskie, gogolińskie i wszelkie insze. A wpróżdzi to nas jeszcze ćwiczył w krzykaniu ów herodyn!

Z nogi na nogę przestępowało wojsko pode dworem, chuchało, mróz zabijało a jak chciał Franulus ogieniek rozpalic, to mu zakazował sługa księżopolskich, aby owo iskrą nie zaproszyć gumien pańskich.

Do północks stała piechota, a kiedy we dworze uderzył zegar na Nowy Rok, ognia dalim z 90 rur i wiwat krzyknęło wojsko z wielką radością a to nie dlatego, iżby się panom szczęściło w nowym, jeno dlatego, iż się nam psie wartowanie skończyło.

Jużemy po owej strzelbie do dom chcieli, aż tu wychodzi kurzej i powiada, iż czekać trzeba na pana z assistencyą, bo jakże to? — powiada — bez pocztu Pan wróci na zamek?

Usłyszy to pan Wojko i rzecze: Pan bez pocztu wróci! — za czym woła: Stawaaaaj! Ksieb! — Sprawila się infanterya szóstkami i do dom ruszyli. Coś tam jeszcze za nami krzyczał kurzej, aleśmy mu jeno plecy pokazali i szli radzi, iż mrozowi umknem.

Wnet jeszcze lepiej poznalim pańskie kałkuly. Dnia 15 stycznia zjechali hetmańscy kommissarze. Troje ich było z garścią draganii hetmańskiej.

Zrazu radowalim się, iż skutek to tamtego listu i że skończy się gogoliństwo. Zaraz na pokoje pana Wojkę zawołali i do rady Kommissyja siadła a i pan Sędzia Karwowski z nimi, bo jego był urząd na prezydium.

Chodziliśmy pod oknamy i gadać chcieli z draganami, ale ci nic nie wiedzieli i kłeli jeno, że na mrozie stać muszą. Ale nam szepnął pan Żurakowski, iż sąd zjechał, bo wybraniectwo rebelizuje, rotmistrzowi zuchwali oraz listy i żaloby na wodza swego ośmiela się do hetmana wnaszać i pohukiwać na rotmistrzów.

Tedy wiedzieliśmy już, że będzie źle, aleśmy od okien nie odeszli. Na radnej izbie coraz to krzyk się podnosił a to pan Karwowski grzmiał, aleśmy nie mogli wymiarkować, na kogo te grzmoty, na pana Wojkę czy na Rotmistrza?

Potem wyszedł kurzej, pomruczał coś z draganami a ci zaraz na nas: A zejdźno jeden z drugim z pola! i muszkiety przed się wzięli a jeden konia dosiadł i objeżdżać nas jął a spychać ku officynie.

Pyskował ten i ów żołnierz, pięści zaciskał i jużby tam bieda była draganikom hetmańskim, ale wiedział kaźden, iż nie lza wojsku rebelizować, tedy się usunęli wszyscy jako barankowie, aleśmy z dala przystanęli i czekali co będzie.

Śmiał się Gryσιο, iż kalendarzem panu Gogolińskiemu, ale z naszych żaden się nie ozwał, inośmy czekali lubo mróz był, aż zatykało.

I doczekalim się swego! Około północks zaczęto w radnej gasić świece i dwoje draganów

z szarżantem wyprowadzili pana Wojkę i do wieży powiedli. W okowach był staruch, a my patrzyliśmy na niego, jak dzieci patrzą na ojca niewinnego, któren idzie na kaźń. W różnych bywało się terminach, nieraz pozierał człek na sprawy srogie i niesprawiedliwe, nieraz człek sam na krepulcu wisiał u heredynów i miast mięknać to twardniał. Ale na ten czas, kiedy dragani wiedli nam ojca naszego i łańcuch na nim brzęczał, tom już nie wydołał i razem z inszymi głośno zapłakał. Lud płakał również, kłękał na śniegu, próśby pokorne do kommissarzów zanosił, za poly ich łapał i łaski upraszał, ale nic z tego. Między draganów panowie poszli a pan Karwowski czapkę na uszy nacisnął i milczkiem uszedł.

Na drugi dzień stanęła infanterya do parolu i monstrował nami Gogoliński a potem jeden kommissarz taką miał mowę: Jakże to! Zali to ten sam sławny uf królewski, któren oponował się ordzie srogiej a grody zdobywał, brańce brał i wiktoryje odnosil, zaliż to ten sam uf? Zali to królewska taka ordynacya przeciwko zwierzchności powstawać? za nic mieć jej rozkazania? A jakże to stanie infanterya nieprzyjacielowi, gdy nienawisć jeno ma do swoich rotmistrzów? gdy fuka na nie? i epistoly słać do hetmanów ośmiela się. Taką ordynacya hetmańska?

Tak mówił a w wojsku cichość jak w kościele nastała, bo żaden nie wiedział co rzec. Aż tu dziw! Czyny kroków troje Bartolinek w parol berdychem uderza i mówi:

Jaśnie Wielmożny Panie Kommissarzu! Nie od wojska mówię jeno od siebie i po gospodarsku rzekę — lubo by insza była ordynacya hetmańska a insza gospodarska. Mówicie „Panie“, o nieprzyjacielu — a gdzie on? pokażcie nam nieprzyjaciela a będziem go bić, bośmy wojsko królewskie. Ale nie kaź ty nam, Mości Kommissarzu, drabować panom Księżopolskim, łuczywami po nocach kaździć paniętom, nosić państwo w saniach i festy im czynić, bośmy nie hajduki. Gniewa się pan hetman na lud swój? a za co gniewa się? za kości chłopskie, co leżą na Rusi? za poganina srogiego? Nie giewa się pan Hetman Koronny za to, ale się gniewa pan Hetman, iżemy nie radzi panu Gogolińskiemu. A to że nie jesteśmy mu radzi prawda, bo nie rotmistrzuję on wojsku, jeno handle ma żelaziwem, o semostrzałach jeno gada i wiwaty po dworach odprawuje a to nie jest ordynacya ani hetmańska ani krńca. I pisać będziwa żaloby do samego króla Jegomości, choćbyś nas kołem łamał, mości kommissarzu, pisać będziwa, boście officyera jako zbrodnia w wieży osadzili i świnia wedle świni by tu stała w glidzie, bydlę koło bydlęcia, głaz wedle głazu by tu leżał, jakby owo miało być jak jest!

Tak rzekł Bartolus i zaraz wielki chrzęst się rozległ po berdykach, bo to co powiedział Bartolus, to jakby z duszy wyjął kaźdemu. Za czym do glidu wrócił i cichość nastała. Patrzą kommi-

sarsze po sobie, dragania wąsami ruszają i widać że i im na duszy miłko, aż tu wyskakuje ów luy-cyper Gogoliniec, miecza dobywa i na Bartolinka bieży a woła: Kmieciu zuchwały! — Ale go kommissarze za połę ucapili i między siebie wzięli a tamten orator znowu wyszedł i rzecze: Widzę, iż wojsko zgoła hardzie sobie poczyna! Ano pizszcie żaloby! jeno niech się wam nie zdawa, iż królewska ordynacya insza niżli hetmańska i jedno sobie zakonotujcie: Jest prawo hetmańskie na zuchwalców! I kula w leb każdemu, kótren będzie przeciwko niemu powstawał, choćby i tryumfator

był tatarski, bo jest nad każdym waga sprawiedliwości oraz księga praw stanowych i koronnych!

To rzeklszy, do Grysia zwraca się: Mości poruczniku, każ chorągwi zejść z placu.

I takeśmy się jeszcze dowiedzieli, iż nowego porucznika mamy. Stał Grysio pod proporcem, charknął dwakroć i zesła infanterya z placu. Ale kaźden obiecowal sobie po cichu, że inaczej będzie niż się panom zdawa.

Eugeniusz Gołębiowski

Jerzy Markiewicz

NIEDOBRE MILCZENIE

W głębi Puszczy Solskiej z dala od siedzib ludzkiej, po prawej stronie drogi leśnej Osuchy — Józefów, na niewielkim płaskim wzgórzu stoją długie szeregi pochylonych drewnianych krzyży. Deszcze i szarugi zdołały już poważnie uszkodzić piaskowe mogiły. Miejsce to mało kiedy jest odwiedzane. Nikomu tu po drodze. Jedyne w dzień Zadaszcy mieszkańcy Osuch, Buliczówki i Łukowy zakłócają spokój leśny pałac tradycyjne świece na grobach. Tu spoczywają prochy kilkuset partyzantów. Na północny wschód od tego leśnego zapomnianego cmentarza, w bagnach, matorniakach i nurtach Sopotu złożyło w ofierze swe życie wielu młodych patriotów. Nad tymi nawet świeczek się nie pali. A przecież nie tak dawno, bo niespełna przed dwunastu laty rozgorzała tutaj jedna z największych bitew partyzanckich w Polsce. O świcie 25 czerwca 1941 roku, po sześciu dniach walk, żołnierze oddziałów „Korda“, „Wojny“, „Topoli“, „Wira“, „Jaskółki“, „Rysia“ i innych uszli do ostatniego dla wielu z nich szturmu. Lasy Osuchowskie są zbiorową mogiłą żołnierzy Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Czy można zapomnieć o krwi przez nich przelanej, o śmiertelnej walce toczonej przez nich z faszystem? Czy puścić w niepamięć ich bezprzykładne poświęcenie i bohaterstwo? W Osuchowskich lasach spoczywają prochy Wawrzyńca Roga ze wsi Brodziaki — ojca siedmiorga małych dzieci i właściciela trzech ha piasków, oraz piętnastoletniego Henia Żelezika, ucznia fotografa z Biłgoraja. Tam po raz ostatni oglądali wschód słońca „Siłacz“, ¹⁾ „Korzeń“, ²⁾ „Pióro“, ³⁾ „Spokojny“, ⁴⁾ „Ponury“, ⁵⁾ „Igła“, ⁶⁾ „Zuraw“, ⁷⁾ „Grusza“, ⁸⁾ oraz szesnastu innych chłopów i robotników leśnych z Woli, małej wioski wśród lasów, bogatej w piachy i wodę, którzy niczego w życiu nie zasnali prócz nędzy i upokorzenia. Tam właśnie nad Sopotem jak przystało prawdziwym dowódcom zginęli „Kora“, „Mały“, „Wiosna“, „Topola“ i dziesięciu innych oficerów. Ci, którzy pisali własną krewią wspaniałą

kartę historii, to w zdecydowanej większości prości ludzie, biedni chłopci i robotnicy leśni, to młodzież wsi, osiedli i małych miasteczek, które nieraz trudno odnaleźć nawet na szczegółowej mapie.

W tym samym powiecie biłgorajskim, dla odmiany w jego zachodniej części, tego samego pamiętnego czerwca 1944 roku zaledwie o parę dni wcześniej, wśród huku bomb i granatów, jęku samolotów i trzasku broni maszynowej wychodziły z okrążenia w krwawych walkach trzy brygady Armii Ludowej (im. W. Wasilewskiej, im. Ziemi Lubelskiej i „Jankowskiego“) oraz dziesięć oddziałów radzieckich. Wielu partyzantom los wyznaczył jako miejsce wiecznego spoczynku piachy i bagna Szklarni, Momot, Ujścia i Flisów. Tu właśnie złożyli swe życie „Michał“ — Kazimierz Wyrwas, ⁹⁾ „Szymon“ — Szymon Krakowski, ¹⁰⁾ „Wicek“ — Ignacy Borowski, ¹¹⁾ „Krakus“ — Edward Szymański, Jan Mróz i tylu innych dziś już zapomnianych partyzantów. Zaciekla była to bitwa, dużo krwi wsiąkło w zachłanną leśną ziemię, wielu młodych chłopów i robotników, rzemieślników i inteligentów, wielu polskich i radzieckich partyzantów zginęło w tych lasach w śmiertelnych zmaganiach z faszystem.

Ile to cmentarzy i mogił kryjących w sobie prochy żołnierzy Armii Krajowej, Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich i partyzantów radzieckich rozsianych jest po całej Lubelszczyźnie? Ile potyczek, walk i bitew stoczyli partyzanci Lubelszczyzny różnych ugrupowań z okupantem. Ile osób słyszało chociażby o bitwach pod Jarocinem, Zaborcznem, Różą, Kochanami czy w Biłgoraju? Ile tajemnic i niewydanego na światło dzienne bohaterstwa żołnierzy BCh., AK, AL, i innych kryją w sobie

1) Jan Wolanin, 2) Jan Iwanczyk, 3) Zdzisław Sobczyk, 4) Sergiusz Głuszcak, 5) Jan Karp, 6) Józef Konopka, 7) Antoni Siembida, 8) Stanisław Konopka, 9) I Sekretarz Lubelskiego Obwodowego Komitetu PPR, 10) Dowódca I Brygady im. Ziemi Lubelskiej, 11) Redaktor „Żołnierza Lubelszczyzny“.

lasy biłgorajskie, janowskie, parczewskie, lipskie i inne? A czy tylko lasy? Każda nieomal wieś Lubelszczyzny ma swych rodzimych bojowników o wolność, ma swojego bohatera.

Gdy oglądamy się na te sprawy z perspektywy czasu, nasuwa się nam bolesne pytanie, czym różni się przelana krew żołnierza AL od krwi żołnierza AK czy BCh? Nie traktując jednakowo celów i założeń politycznych kierownictwa AL, AK i BCh, musimy już dzisiaj spłacić dług wdzięczności wobec tych wszystkich, którzy oddali swe życie za naszą wolność.

Czy mamy dziś prawo nie uznać w jednakowym stopniu bohaterstwa córki nauczyciela, szesnastoletniej sanitariuszki „Heli” — Haliny Derewalskiej (AL), która w bitwie pod Momotami nie zawahała się iść z pomocą rannemu partyzantowi leżącemu w pobliżu pozycji niemieckich w czasie kontrataku nieprzyjaciela odnosząc ciężkie rany,¹²⁾ i „Wacka” — Wandy Wasilewskiej (AK) nauczycielki, liczącej lat 20, która, nie chcąc wydać współtowarzyszy w czasie przesłuchiwań w Gestapo w Biłgoraju, wyskoczyła z piętrowego przez okno na bruk?¹³⁾ Czy mamy dziś prawo zapominać o bohaterskiej śmierci AL-owca Marcina Deryły, który w momencie, gdy zagrażało przerwanie linii obronnych partyzantów, rzucił wiązkę granatów do własnego okopu, ginąc wraz z kilkunastoma Niemcami, czy też o śmierci Bolesława Dobrowskiego AK-owca, który w czasie szturmowania SS wyszedł z własnych okopów naprzeciw strzelając z lkm, ratując w ten sposób stanowiska partyzantki od przerwania?¹⁴⁾ Ile to bohaterskich czynów dokonali żołnierze BCh, AL, czy AK na Lubelszczyźnie? Wystarczy wziąć dla przykładu takie postacie alowców jak: Aleksy Szymański, Julian Kaczmarek, Władysław Rękas czy też akowców jak Józef Stygliński, Adam Haniewicz, Tadeusz Szanajca, czy też bechowców, jak Piotr Kukielka, Fr. Kostrubiec i Czesław Skarżyński. Są oni bohaterami narodowymi, niestety, zapomnianymi. A czy tylko oni?

W ciągu ubiegłych jedenastu lat wszystkie narody europejskie i pozaeuropejskie nie tylko pomnikami uczciły pamięć swych synów poległych w walkach z faszystem, na polach bitew ostatniej wojny. Powstała wspaniała literatura piękna we wszystkich jej formach i gruntowne opracowania naukowe. Jedyne my, Polacy, którzy wnieśliśmy tak poważny wkład do tej straszliwej światowej rozgrywki z hitleryzmem, wstydliwie i bojaźliwie milczymy o wspaniałej walce i postawie naszego narodu. Rumieniec wstydu oblewa twarz, a żal wzbiera w piersiach, kiedy ogląda się np. filmy „Bitwa o szynę”, czy „Wilcze doły”. Buntuje się urażona dumą narodowa, kiedy widzimy włoskie dzieła filmowe „Słońce wschodzi”, czy „Achtung Banditen”. Niestety, prawdzie trzeba spojrzeć

w oczy — Włochów stać na filmy o ruchu oporu, a nas nie stać ani na dobry film, ani na powieść.

Nielatwo jest odnaleźć Franciszka Furgalę, a jeszcze trudniej nawiązać z zamkniętym w sobie pięćdziesięcioletnim chłopcem rozmowę, by usłyszeć od niego następujące wspomnienie:

„Szarajówka była niewielką wioską. Mieszkańcy spokojni i pracowici, oczywiście niewiasty jak wszędzie miały swoje nieporozumienia. Życie toczyło się normalnie i nawet wojna nie potrafiła zmienić jego biegu. Nagle, 19 maja 1943 roku, wszystko się na raz na zawsze skończyło. Wieś otoczyły oddziały SS i Szupo. Mieszkańców siłą spędzono na plac przed gospodarstwem Soniaka. W południe spędzono wszystkich do zabudowań Mołdy, Klechy, Łotkały i Krzeszowca. Szczególnie dużą liczbę osób, przeważnie kobiet i dzieci wpędzili Niemcy do stajni Mołdy, w tym moją żonę z dwumiesięcznym synkiem Józkiem i osmioletnią córeczką Wandą. Bardzo szybko i sprawnie SS-owcy pozabijali otwory i drzwi, podpierając je belkami, okładając wszystkie budynki słomą. Podpalono wieś. Z językami ognia i brunatnym dymem buchnął w niebo rozdzierający krzyk. Modlitwy umierających, płacz dzieci. Niedługo to trwało, ale kto był przy tym, już nigdy w życiu nie zazna spokoju. Około godziny szesnastej było po wszystkim. Wśród spalonych znalazłem zwęglone zwłoki żony i córeczki, synek zaś jakby spał. Matka kłęcząc nakryła go swoim ciałem, a że był w beciku, uduślił się tylko... Wandzia trzymała się matki za rękę. Pochowaliśmy ich wszystkich we wspólnej mogile... Niech mi kto wytłumaczy, dlaczego ja wówczas korzystając z nieuwagi SS-owca schowałem się w pobliskim zbożu?”

W lipcowym skwarze furmanka ledwie się toczy po wyboistej drodze. Konie człapią leniwie. Rozmawia się nawet nie chce. Mimo to powożący chłop usiłuje mnie przekonać, że tam, to jest w Szarajówce, od czasu do czasu straszny, słychać jęki i płacz. Po godzinie takiej jazdy wyłania się pochylony dogowskiak, Na żółtym tle tablicy ledwie widoczne są litery „Szarajówka”. W dali szczątki porośniętych trawą rumowisk, a na ich tle drewniany krzyż na niewielkim pagórku. Oto — Szarajówka.

Autobus Inwalidzkiej Spółdzielni Pracy dokonuje na szosie Biłgoraj — Tarnogród ekwilibrystycznych wyczynów. Ale na szczęście cel podróży — wieś Majdan Stary — niedaleko. Katarzynę Sarzyńską odnaleźliśmy z łatwością i można było nawiązać z nią szczerą rozmowę. I znów przed oczyma naszymi przewija się jedna z wielu tysięcy tragedii polskich wsi, jeden z wielu milionów dramatów osobistych. A więc gorący lipiec 1943 roku, płonąca wieś, związani za szyję sznurem mężczyźni, zwarta grupa kłęczących na murawie kobiet i dzieci. Salwy karabinowe w walących się jak kłody chłopów. Cichy szloch kobiet i płacz dzieci. Urywane serie z pistoletów maszynowych. Cisza kłująca uszy. Od

¹²⁾ Podczas tej bitwy zmarła.

¹³⁾ 4 lipca 1944 r. została rozstrzelana w lasu Rapy,

¹⁴⁾ Zginął odpierając ten szturm.

zwału trupów odrywa się drobna postać dziecka. całe we krwi, stania się, pada, podnosi, idzie, dochodzi do zboża, znika. Kasia — dziś już Katarzyna Sarzyńska. Straciła wówczas całą rodzinę, sama odnosząc jedenaście ran.

I znów natrętne pytania cisną się do głowy. Kiedy nareszcie martyrologia wsi polskiej znajdzie właściwe odbicie w nauce, literaturze i sztuce? Czy męczeństwo mieszkańców Szarajówki, Majdanu, Borowca, Soch, Białowoli, Kochan, Topólczy, Kito-wa i setek innych wsi Lubelszczyzny może pójść w niepamięć? Czy są to wypadki drobne i odosobn-ione? Wystarczy powiedzieć że w jednym tylko powiecie biłgorajskim liczącym 105 gromad Niemcy przeprowadzili 96 pacyfikacji i egzekucji.

A pacyfikacje, egzekucje, oblawy — to zaledwie część męczeństwa chłopów Lubelszczyzny. Nie zapominałmy o wysiedleniach. Przecież zaledwie na terenie czterech powiatów określonych nazwą Zamojszczyzny (biłgorajski, hrubieszowski, tomaszowski i zamojski) i zaledwie od listopada 1941 r. do sierpnia 1943 r. hitlerowcy wysiedlili 298 gromad (około 100.000 ludzi). I znów przed oczyma naszymi ciągną kolumny samochodów z dziećmi, kobietami — całymi tysiącami — via Majdanek.

Czy są to sprawy drobne, czy wolno o nich dłu-żej milczeć?

Cały świat wie o czeskich Lidicach i francuskim Oradour. Całe pielgrzymki ciągną tam dzisiaj, by oddać hołd pomordowanym. Nakręcano o nich wiele filmów, napisano dziesiątki powieści, poematów i sztuk. Miejsca te słusznie urosły do symbolów zbrodni faszyzmu. Lecz nikt nie tylko w Polsce, ale i na Lubelszczyźnie, nie słyszał o Szarajówce, Sochach, Pardysówce. Wywloczce, czy Kochanach. A przecież żyjemy wśród setek Lidic czy Oradourów. Czy nie czas już powiedzieć światu o mę-czeństwie Ziemi Lubelskiej?

Wiele się mówi, a jeszcze więcej pisze o przyjaźni międzynarodowej. Istnieją towarzystwa mające na celu propagowanie tej najwspanialszej idei. W pra-cy tych stowarzyszeń operuje się najczęściej utar-tymi, schematycznymi ogólnikami, powtarzając je wielokrotnie. Głosi się wspaniałe hasła, a zapomina o najistotniejszych elementach przyjaźni. Przede wszystkim o tym, że trwałość jej zależy od zdolno-ści ludzi do poświęceń, wyrzeczeń, od ich hartu i odwagi. Zapomina się, że prawdziwa, trwała przyjaźń rodzi się w ogniu walki i wspólnych nie-bezpieczeństw. I dlatego wydaje się, że zamiast powtarzać bez potrzeby te same, wszystkim już znane na pamięć argumenty, należy sięgnąć do wy-padków, jakie zachodziły u nas na Lubelszczyźnie w okresie okupacji. Tam bowiem są korzenie praw-dziwej, ludzkiej, z głębi serca płynącej przyjaźni. Czy np. nie dali jej najwspanialszych dowodów mieszkańcy wsi Różaniec przechowując trzech żoł-nierzy radzieckich? Mimo wielokrotnych ostrzeżeń i wezwań do wydania ich ze strony Landwirta z Tarnogrodu, nie uczynili tego. Toteż 18 marca

1943 roku hitlerowcy wystawili za to wsi krwawy rachunek. Zamordowali ponad 80 osób, spalili około 200 gospodarstw i wywieźli do obozów koncentra-cyjnych ponad 1000 osób. Żołnierzy radzieckich również ujęto. Jeden z naocznych świadków, Antoni Baryła mówi: „Mężczyzn ustawiono w dwuszeręgi i każdego ze złapanych trzech jeńców sowieckich przeprowadzano przed szeregiem, aby wskazał ko-go zna. Żaden jednak z jeńców nie przyznał się, że jest mu ktokolwiek znany, chociaż znali niejednego gospodarza“. Czy jest to przypadek odosobniony? Z całą pewnością nie. Można jeszcze wiele dziesiąt-ków przykładów tego rodzaju przytoczyć. Można je uzupełnić przykładami współpracy i współdziałania zbrojnego i innymi.

Dlaczego milczymy o pomocy udzielanej przez naszych chłopów żołnierzom francuskim (jeńcom wojennym) budującym drogi na Lubelszczyźnie?

Jesień 1942 roku była okresem całkowitego biolo-gicznego wyniszczenia ludności żydowskiej na Lu-belszczyźnie. Wielu Żydów ratując życie szukało schronienia u Polaków. A przecież ci udzielając po-mocy zdawali sobie dobrą sprawę, na co się na-rażają. Na pewno leśniczy Jan Mikulski, który przechowywał 5 osób narodowości żydowskiej, był świadom, na jakie niebezpieczeństwo naraża siebie i rodzinę. Małżonkowie Mieczysław i Zofia Holce-ry z Celestynowa zostali przykładowo rozstrzelani przez dowódcę lubelskiego Szupo Gerarda Jaeckela za przechowywanie Żydów, a zwłoki ich sprofano-wano przez zakopanie w gnojówce. Zresztą czy taki los spotkał tylko Holcerów? Wystarczy wspomnieć o Anastazji Łubiarz, Marii Łubiarz, Kazimierzu Szabacie, Józefie Gnidule, Katarzynie Margol, Ka-tarzynie Kowal, Józefie Kowalu, którzy ponieśli śmierć i których gospodarstwa spalono za to, że osmielili się nieść pomoc Żydom. Nie tylko oni ponieśli za to śmierć. Wydaje się, że zbyt wyolbrzy-miamy niechlubną rolę nielicznych mętów spo-łecznych działających na szkodę ludności żydow-skiej, a za mało wspomina się o ludziach, którzy w imię przyjaźni spiesząc z pomocą innym tracili własne życie.

Są to chyba sprawy zbyt wielkiej wagi, aby moż-na o nich tak szybko zapominać.

Paruszone tu zagadnienia to tylko mały wątek olbrzymiego splotu spraw okupacyjnych, ale nadzwyczaj bolesny i drogi sercu każde-go Polaka. Wydaje się, że dalsze wstydlive milcze-nie byłoby zbrodnią wobec społeczeństwa, niedo-pelnieniem podstawowego obowiązku wobec tych, którzy bronili naszej ojczystej ziemi, polskości i kultury, wyrwaniem najwspanialszej karty z dzie-jów naszego narodu i historii Lubelszczyzny. Mu-simy ukazać krajowi i światu możliwie najszybciej nasz wspaniały ruch oporu, bohaterские czyny par-tyzantów, walkę zbrojną z okupantem, męczeństwo i męstwo ludności. Aby wyrównać zaniedbania w tym okresie, nie wystarczy tylko praca naukow-

ców, literatów czy pisarzy, konieczny jest w tym aktywny udział całego społeczeństwa Lubelszczyzny.

Jeśli nie zdołamy tego dokonać to, mój drogi przyjacielu, który wioząc mnie przez grzeczność

furą do Szarajówki twierdzisz, że tam straszny — będą ci musiał przyznać rację. Z tym, że nie w Szarajówce, ale w całej naszej literaturze i nauce.

Jerzy Markiewicz

Alina Rybicka-Tomaszewska

PSYCHOLOGIA „KONSPIRACJI” DZISIEJSZEJ

Wiele wygłoszono już zdań na temat współczesnej młodzieży, zarówno potępiających jak i gloryfikujących. Mówiło się o wspaniałej, bojowej, „pierwszym pomocniku partii”, o niejkiej, bezideowej, „kuli u nogi”. Ale jakoś nikt dotąd nie zauważył, że jest głodna, odarta, biedna i bardzo młoda — często wprost „po szczeniacku”. Nie chodzi tu o chleb z masłem i czymś tam jeszcze, ani o „setkowy”, czy „niesetkowy” garnitur. Są sprawy większe i ważniejsze. Przychodzi w młodym życiu człowieka okres zwany „bohaterskim”, kiedy za wszelką cenę z zachowaniem własnej inicjatywy chce się zarzykować życiem w jakiejś wspaniałej, wielkiej sprawie. Chce się, żeby wszyscy w koło dostrzegali ten czyn, chce się chodzić w glorii albo umierać z tą świadomością, że chwała otoczy nasze imię po śmierci. I chyba tylko ktoś bardzo bezduszny i pobawiony zupełnie wyobraźni nie zna tych pragnień, tęsknot i rozterek.

Znają je aż nadto dobrze chłopcy i dziewczęta żyjący w Polsce Ludowej. Nie są przecież jakimiś nieznanymi, przedziwnymi istotami, ale normalnymi ludźmi podlegającymi prawom rozwojowym właściwym człowiekowi. Jak sobie radzą ze swoimi bohaterskimi „przypadłościami” i co z tego wychodzi?

— Jak myślisz, co to jest komunizm? — pyta sędzia czternastoletniego członka „Antykomunistycznego Związku Młodzieży Polskiej” z Lubartowa.

— To jest taki związek, co stwarza prawa dla ludzi, dla zwierząt, dla budowy... — brzmi odpowiedź ucznia VII klasy. I to dobrego ucznia, którego stopnie są naprawdę zadowolające. Tyle dotarło do niego z nauki o konstytucji, z historii, języka polskiego itd.

„Związek co stwarza prawa dla ludzi” — to zrozumiałe i nie wymaga komentarzy.

„Prawa dla zwierząt” — jako mieszkaniec powiatowego miasteczka niemalże nasłuchiwał się o obowiązkowych dostawach żywności (Powiat wykonał — „Chlubimy się tym, że...” Powiat nie wykonał — „Jesteście złymi obywatelami, naszego ludowego państwa” itd). O konieczności rozszerzenia hodowli zwierząt krzyczały mu na wszystkich płotach afisze propagujące kukurydzę.

„Dla budowy” — przecież wszędzie, gdziekolwiek mówiło się o planie sześć — czy pięcioletnim, słyszało się od razu „Wybudujemy nowe fabryki, nowe osiedla i miasta...”. W Lubartowie wprowadzicie nie bardzo tę nową budowę widać, no ale to przecież tylko miasto powiatowe, za to daleka Warszawa... A nawet nie tak daleki Lublin.

Szkoła w Lubartowie nie jest jakoś specjalnie zła — raczej taka jak wiele innych. Do szkoły chodzą chłopcy o gorących głowach, o... myślących głowach — jak wszędzie.

— Był spokojnym chłopcem i nigdy nie mieliśmy z nim kłopotów. Sprawiał wrażenie raczej zamysłonego — zeznaje nauczyciel w sądzie dla nieletnich w sprawie Jurka G. założyciela „antykomunistycznego” związku.

Jurek ma 14 lat. W 1945 r. przyjechał z rodzicami z Zaleszczyk. Ojciec jest chory. Pracuje tylko matka jako robotnica w hucie. Jurek był ich nadzieją i dumą: dobry uczeń, nie chuligan, nie łobuz, dużo czyta, w szkole nie skarżą się na niego. Trzeba, żeby się uczył dalej, żeby wyszedł „na człowieka” dolożąc wszelkich starań. Sprawa AZMP spadła na nich jak piorun. Co teraz będzie?

— Na świecie jest źle — doszedł Jurek do twardego przekonania. W domu była niemalże bieda. Nie głodował wprawdzie, nie chodził obdarty, ale daleko było do jakiegokolwiek „elegancji” czy dostatku. Wśród kolegów w szkole część była w tym samym położeniu finansowym co on. Reszta w lepszym o wiele.

— Dlaczego tak jest, że jedni mają dużo, a za dużo, a drudzy bardzo mało. Przecież moja matka też pracuje i to wiele. Kto za to ponosi odpowiedzialność? — Ustrój, który dopuszcza do takiej nierówności. A zatem trzeba go obalić i zaprowadzić równość dla wszystkich. Żeby wszystkie dzieci miały jednakowy dostęp do kina, ładne ubrania, dobre jedzenie. Żeby mogły się śmiać i nie musiały słuchać o ciężkich troskach rodziców każdego „pierwszego”. Kto dokona tego wielkiego dzieła? On. Sam?... Nie, sam, nie da rady — Jurek myśli przecież realnie — trzeba stworzyć organizację, oczywiście najpierw z kolegów. Potem zdołują starszych do walki.

Znalazło się jeszcze czterech zapalonych siedmioklasistów, głodnych wielkiej, zrozumiałej dla nich idei, dla której, jak uznali, warto poświęcić nawet życie. Ze ustroj PRL jest zły, bo sankcjonuje nierówność, to nie ulegało dla nich wątpliwości. Ze przed wojną było inaczej, gorzej, że obecnie to „okres przejściowy” — brzmiało dla nich „propagandowo”. Nie mieli możliwości porównania, a gadaniu często nie bardzo się wierzy. Dla nich ustroj t a k i „zły” był „od zawsze”, to znaczy od chwili, kiedy go zaczęli postrzegać.

I ci „antekomuniści”, którzy swoją własną ścieżką doszli właśnie do komunizmu pojętego po dziecięcemu — prymitywnie rozpoczęli „walkę” z ustrojem zdążającym do socjalizmu.

Absurdalna sytuacja? — Oczywiście. Ale jednocześnie jak ogromnie bolesna.

Walka polegała na zebraniach urządzanych romantycznie na cmentarzu i rozrzucaniu ulotek, które redagowali sami. „Obywatele, róbcie powstanie...”, „Towarzysze, do walki...” tak bojowo zaczęły się. Rozrzucanie ich w różnych miejscach (np. przed samym Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa) oprócz tego, że dostarczało silnych wrażeń, wymagało zapewne niemałej siły woli i... bohaterstwa. To było chyba najlepszym dowodem, jak głęboko zapadła chłopcom w serce idea naprawienia świata i uszczęśliwienia wszystkich. Wiedzieli przecież, na co się narażają. „Wpadli” przy rozklejaniu „antekomunistycznego” w ich pojęciu afisza.

Nie ucięto im głowy, nie wsadzono do więzienia — jak przypuszczali niektórzy. Chodzą nadal do szkoły, uczą się. Opiekuje się nimi kurator.

Ta bolesna, absurdalna sprawa świadczy, w jaki sposób dociera do młodzieży głoszona przez nas idea komunizmu. To, co mówi szkoła, to, co mówi legalna organizacja młodzieżowa, okazuje się pustym dźwiękiem nie wywołującym rezonansu. Czyżby idea zbankrutowała? Nie. Chłopcy przecież doszli do niej swoją własną, okrężną wprawdzie ścieżką. Ale zbankrutowały zupełnie nasze metody. Można nauczyć się na pamięć czyichś mądrych zdań będących syntezą wieloletniego doświadczenia, można nawet gładko je wypowiedzieć i dostać za to „piątkę”, ale to wcale nie znaczy, że się zrozumiało te zdania, że się zdobyło „marksistowski światopogląd”. Nasza metoda wygląda jak polecenie młodzieży czytania najciekawszej książki od końca słowa po słowie.

Idei nie można nauczyć się na pamięć — znajduje się ją wśród wydarzeń życia, pojmuje się ją, zaczyna się ją czuć i... nią oddychać. Aby ją znaleźć, niekoniecznie trzeba wchodzić w konflikt z prawem. Czasem parę słów mądrego człowieka sprawia, że innymi oczami patrzy się na zwykłe codzienne zdarzenia. Ale słowa te muszą t r a f i a ć do młodego umysłu, którego zasób doświadczeń jest jeszcze niewielki.

Nasza metoda to także trochę metoda otepiania. Codziennie dziesiątki razy wycieramy sobie usta słowami, które wyrażają rzeczy wielkie, piękne, godne najwyższego szacunku i ukochania. Jeżeli słów: Partia, Ojczyzna, Socjalizm, używamy masowo przy otwarciu zawodów żużlowych, na każdej lekcji, na każdym szkoleniu, choćby nawet tematem były loty kosmiczne, to nie dziwnym się, że słowa te są przez młodzież traktowane jako nie nie mówiący zwyczajowy dodatek także np. w wezwaniu do bohaterstwa zrywu przy budowie kanału Wieprz-Krzna.

I dlatego każdemu, kto zarzuca współczesnej młodzieży bezideowość, powiem: kłamstwo. Młodzież jest potwornie głodna wielkiej, wspaniałej idei. Tragedia polega na tym, że nie umiemy jej karmić. Dlatego przestaniemy się wreszcie dziwić, że zdziczała z głodu przedzierzga się w chuliganów czy cyników, a ta najbardziej samodzielna w myśleniu — szuka pokarmu „na własną rękę”, niezadko wchodząc w konflikt z prawem.

Na czym polega „praca nad sobą” w ZMP? Na regularnym uczęszczaniu na szkolenia ideologiczne, na czytaniu książek, chodzeniu do kina, do teatru. Czasami dodaje się jeszcze nieśmiało: na koncerty. Podczas szkolenia można notować (to już dobrze), mniej lub bardziej dorzecznie zabierać głos w dyskusji (to już bardzo dobrze: aktywny człowiek — choć gada od rzeczy. Wyrobi się!) I to już właściwie wszystko — całe „wielkie dzieło” pracy nad sobą. Sprawa wyrabiania charakteru? To samo się robi. Niejako automatycznie bez żadnego wysiłku. Wystarczy tylko uczęszczać na szkolenia, do kina, do teatru, zabierać głos w dyskusji i jeszcze raz zabierać głos w dyskusji. Co ma z tego wyjść? Wspaniały człowiek — człowiek socjalizmu. Jakos często nie wychodzi. Lekceważenie wyrabiania silnego, prawnego charakteru stało się jedną z przyczyn „położenia” pracy ZMP i... jednak pewnego wzrostu przestępczości wśród młodzieży.

Normalny młody człowiek odczuwa pociąg do stworzenia silnej, własnej osobowości. Chciałby przewodzić kolegom, a wie, że potrafi dokonać tego tylko ten, kto im zaimponuje właśnie siłą charakteru, szybką orientacją, inteligencją, w prymitywniejszych tylko warunkach siłą mięśni. Ten naturalny pęd do głębszej pracy nad sobą zlekceważyliśmy zupełnie, a nawet niektóre jego przejawy piętnowaliśmy nieraz mianem „drobnomieszczaństwa” i „zakłamania”, np. w wielu wypadkach, gdy chodziło o wyrobienie opanowania w sprawach seksualnych.

Pomimo zupełnego lekceważenia tego rodzaju bądź co bądź trudnej pracy nad sobą, pomimo ograniczenia się do spraw czysto zewnętrznych, ZMP nie zdobył sobie jakos wielu członków, którzy gotowi by byli poświęcić dla niego wszystko. Cóż w tym dziwnego. Kiedy się nie wymaga od młodego czło-

wieka nie poza uczęszczaniem na nudne w większości zebrania i robieniem często jakże bezsensownych i niewiele mówiących „gazetek“; kiedy jednocześnie powszechnie wiadomo, że choćby tylko formalna przynależność daje sporo przywilejów, aż do wygodnego urzędnika sobie życia włącznie. Członkostwo ZMP jest często przez młodzież traktowane jako trochę niezbyt uczciwa, za to korzystna transakcja handlowa.

Gdzie dowody, że młodzież sama pragnie ciężkiej pracy nad wyrabianiem swego charakteru? Przykłady można mnożyć bez liku. Aby były jak najbardziej wiarygodne, sięgnę znów do doświadczeń lubelskiego sądu dla nieletnich. Członkowie „Czarnego Legionu“ to chłopcy od 13—15 lat. W przysiędze, którą sami sobie ułożyli, był między innymi punkt: „... Przysięgam... nie pić alkoholu, nie palić, nie „zalewać do dzweczynek“, natomiast szanować starszych...“ itd. Warto dodać, że „Czarny Legion“ naprawę w czasie swego istnienia, a nawet w pierwszym okresie po rozprawie podczas pobytu w domu poprawczym przestrzegał tych zasad.

Kiedy jednego z pracowników ZW ZMP zapytano, dlaczego w harcerstwie nie mówi się, przypuśćmy, o wyrabianiu u dziecka np. opanowania bólu, odpowiedział, że na tej między innymi zasadzie oparte było Hitlerjugend i że to właśnie doprowadziło do sadyzmu.

Czy koniecznie trzeba zaraz przysłowiowo wylewać dziecko razem z kąpielą? Przecież każdą, najsluszniejszą nawet ideę można doprowadzić do zwyrodnienia. Rozsądni ludzie w kierownictwie są chyba właśnie od tego, żeby do zwyrodnień nie dopuścić.

Ideał „mięczaka“ naprawę nikogo nie pociąga. „Mięczak“ nie jest zdolny do wielkich czynów i poświęceń. „Mięczak“ nigdy nie będzie rewolucjonistą, ani bohaterem, ani... prawdziwym, wartościowym człowiekiem.

— Pół życia oddałbym za to, żeby za miesiąc wybuchła wojna — mówił mi któregoś dnia 15-letni Bolek Z., syn aktywisty, zetempowiec, chłopiec myślący i rozumny.

— Cóż ci znów do głowy strzeliło?

— Nic mi „nie strzeliło“. Myślę o tym już od dawna i wstyd mi po prostu mojego życia.

— Dlaczego ci wstyd? Chodzisz do szkoły, uczysz się dobrze, pracujesz społecznie, koledzy cię lubią, chodzisz do kina, do teatru, na mecze, czytasz książki, zwiedziłeś pół Polski...

— No właśnie — wybuchnął — Przykładowy, grzeczny chłopczyk. A to hańba. Co ja właściwie zrobiłem w życiu? Czego dokonałem? Niczego. I gdybym musiał teraz umierać, to mógłbym o swoim życiu powiedzieć, że byłem pasożytem. Tak, pasożytem.

— Nie musisz umierać — zaprotestowała gwałtownie — I to właśnie bardzo dobrze, że mając lat

15 nie musisz umierać. Nikt od ciebie teraz nic nie wymaga poza tym, żebyś się dobrze uczył. Za parę lat skończysz szkołę, potem uniwersytet i zacznieś pracować. Wtedy będziesz dokonywał „wielkich rzeczy“. Może będziesz budował fabryki, może będziesz leczył ludzi...

— Tere fere. I pani już zaczyna drętwe gadki? Całkiem jak mój ojciec. Tylko że on jeszcze zawsze dodaje, że długie lata walczył o to, żebyśmy my, to znaczy ja i moi rówieśnicy, mogli mieć taką „spokojną“ i „szczęśliwą“ młodość. A niech diabli wezmą „szczęście“ tego rodzaju. Wobec moich rówieśników z okresu okupacji czują się jak ubogi krewny — patrzyliby na mnie z politowaniem i pogardą. A może nawet i patrzeć by nie chcieli. Chociaż nie. Musieliby patrzeć. Przecież i oni walczyli dla mnie o moją parszywą „szczęśliwą“ młodość. A mnie takie „szczęście“ wcale nie potrzebne i oddałbym całe życie za rok najcięższej partyzantki — nazytałem się przecież niemało, jak wyglądały te sprawy, niech pani nie mówi, że nie podołałbym. Jestem wysportowany i fizycznie dość silny. A czuję się jak żebrak: wszyscy mi wszystko wywalczyli, dali, a ja nie mam nic nikomu do dania.

I nie pomogło tłumaczenie, że „tamto życie“ było czymś nienormalnym, że kosztowało setki tysięcy istnień, że prowadziło do wyniszczenia narodu, że bardzo wiele chłopców i dziewcząt zwichnęło psychicznie, wynaturzyło. Dla Bolka „tamten okres“ jest świetną i jedyną okazją do „bogatego życia“ i do stania się po prostu bohaterem.

— Przecież nawet już teraz dajesz coś z siebie społeczeństwu — perswadowałam — tyle razy brałeś udział w różnych czynach społecznych.

— Tego nawet porównać nie można! — krzyknął oburzony — Przyjdę, odwalę swoje dwie czy trzy godziny, żeby mieć święty spokój i koniec. To się robi po to, żeby być „wyrobionym społecznie“. Po prostu szkoła podjęła zobowiązanie, bo akurat jakiegoś święto czy akcja. A „tam“ — tam przecież chodziło o życie, o wolność. To nie była zabawa. Przez to nie wyrabiano sobie opinii w szkole.

Drugi gorzki i bolesny absurd.

Czy koniecznie musi być wojna, żeby Bolek i jemu podobni (a tych naprawę niemało — liczbowo przynajmniej tyle, co chuliganów, którym poświęca się tak wiele uwagi) poczuli się pełnowartościowymi ludźmi? Przenigdy. Wojna nie powinna się już nigdy więcej powtórzyć. Zbyt drogo nas kosztowała. Zbyt jest potworna. Ale dopóki przekonująco nie wykazemy naszym czteremnasto- i siedemnastolatkom, że i w okresie pokoju pomimo bardzo młodego wieku można dokonywać czynów bohaterskich, że i podczas pokoju istnieją sprawy, dla których warto poświęcić życie, dopóty możliwość apoteozy widma wojny, niezależnie od stosunków międzynarodowych będzie dalej istniała. Dopóty nasi „szczęśliwi“ chłopcy będą się czuli pokrzywdzeni przez los i najubożsi z ubogich.

Alina Rybicka-Tomaszewska

CZY ONI NIE MYŚLĄ: „DLACZEGO WRÓCILIŚMY?“

Byliśmy bardzo naiwni. „Reportaż o reemigracji“...

Wymyśliliśmy sobie tak: ruszamy na odkrycie Polski. Polski, której kształt określała tęsknota, lata marzeń i nadziei.

Któryś z nas nawet powiedział: ta Polska — to będzie jakiś fakt irracjonalny.

Może sami tęskniliśmy za taką Polską? Przyzwyczajaliśmy się do oglądania jej w niebezpiecznych zbliżeniach, które deformują. Niekiedy nie starcza sił, by unieść głowę i dojrzeć prawdziwy kształt.

— Dlaczego wracacie? — pytaliśmy z uporem, brutalnie.

Wciąż byliśmy bardzo naiwni. Oczekiwaliśmy jakiejś jednoznacznej odpowiedzi, domagaliśmy się jej. Niekiedy mogło się wydawać, że słyszymy ją: „Wróciliśmy do Polski Ludowej“. Jednak nie byliśmy przekonani... Raz, po godzinnej rozmowie okazało się, że chcą jechać z powrotem na zachód. Dlaczego? Zdrowie. Klimat polski nie służy. Długie szukanie w portfelu. Podano nam do rąk jakieś papiery, jakieś zaświadczenia lekarskie. Właściwie mało nas one obchodzą. Gdzie się podziała nasza irracjonalna Polska? Klimat.

Nie, musimy wreszcie przestać być naiwni.

Kiedyś nędza, potem wojna — sprawiły, że staliśmy się po trosze narodem tułaczy. Po wojnie było dużo nieporozumień, dużo tragicznych pomyłek. Teraz wszyscy już wiemy na pewno: Polacy, którzy czują się Polakami, powinni być w Polsce. Stwarzamy przesłanki do tego, żeby wszyscy mogli wrócić. Ogłosiliśmy amnestię. („Wolna Europa“ komentuje: uważają wszystkich emigrantów za przestępców, sam fakt, że jesteśmy za granicą, czyni nas kryminalistami. I niestety, nie tylko „Wolna Europa“... Jakiś młody urzędnik polskiego konsulatu wygłosił wspinałomysłną mowę do żołnierza spod Narviku: „Możecie wracać. Polska Ludowa wybaczyła wam winy“).

Nasza propaganda przestała już, na szczęście, opowiadać bajki o złotych górach — bajki, które tylko budziły nieufność i jakże często — rozczarowanie.

Nieufność — bo nie trzeba przecież konieczne historycznych okrzyków „Wolnej Europy“ o skrajnej nędzy w Polsce, by wiedzieć, że Polska nie jest jeszcze krajem dostatku i luksusu. Oszałamiające obietnice stwarzały przesłanki do niebezpiecznego rozumowania: jeżeli w tym kłamia, to możliwe, że kłamia i w innych sprawach.

Rozczarowanie — bo jednak wielu uwierzyło. Wrócili pełni zaufania — a my witaliśmy ich ośmiusetzłotową pensją. A przecież, najczęściej,

choćby nawet wiedzieli o tym — wróciliby także. Bo nie wracają tylko dlatego, że czekają na nich zastawione stoły...

Nasze konsulaty i placówki repatriacyjne działają coraz sprawniej. Formalności paszportowe są załatwiane coraz szybciej, a jeszcze przed rokiem trzeba było czekać całymi miesiącami. Roztacza się opiekę nad powracającymi. Ale... nie wszędzie jeszcze. We Francji polscy urzędnicy odprowadzają na lotnisko, czule pożegnania, dużo ciepłych słów. Z Niemiec Zachodnich ludzie jadą sami, bez żadnej opieki, często bez paszportów, niepewni dokąd uda im się dotrzeć. Staramy się to wytłumaczyć: nie ma stosunków dyplomatycznych z NRF. Czyżby jednak nie istniały inne możliwości zorganizowania opieki? Jedynym głosem z Polski jest tam radio — głos, który choćby z przyczyn technicznych nie zawsze dochiera. A do ambasady polskiej w Berlinie jest bardzo daleko (z bońskiej republiki!).

Jednakże wciąż jeszcze wracają nie wszyscy. Nie, nie chcemy wcale walczyć o powrót tych, którzy dawno wyrzekli się Polski. Nie zmuszamy do powrotu tych, którzy uważają, że do „takiej“ Polski — to znaczy do Polski socjalistycznej — powrócić nie mogą.

Ale poza granicami kraju pozostaje jeszcze tyśiące ludzi, których powrót jest i możliwy i potrzebny. Nie kusimy się o dokładną analizę wszystkich przyczyn, które ten powrót odwołują — zbyt mało mamy wiedzy, zbyt mało informacji. Jest to sprawa skomplikowana, często skomplikowana psychologicznie. Pragniemy tylko zastanowić się nad jednym zagadnieniem, na pewno nie najbliższym: wielu ludzi wciąż zatrzymuje za granicą strach. Tak, to są na pewno w dużej mierze skutki wrogiej propagandy. Ale także nie możemy przeczyć z czystym sumieniem powiedzieć, że w przeszłości, w czasach — naz-

*) Informacji podanych w niniejszym artykule nie sprawdzaliśmy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych — czepaliśmy je z licznych rozmów z osobami, które powróciły z Francji, Związku Radzieckiego, z Argentyny i Anglii, z Niemieckiej Republiki Federalnej itd. Mogły się więc wkręcić pewne nieścisłości. Sądzymy jednak, że nawet tylko na podstawie rozmów z repatriantami można dojść do słusznych wniosków. Tezę tę niech potwierdzi notatka ze „Sztandaru Ludu“, która ukazała się już po napisaniu naszego artykułu: „Repatrianci z Australii opowiadają, że wielu z przebywających tam Polaków pragnie wrócić do ojczyzny lecz poważną trudność stanowi brak polskiej placówki która by pomagała repatriantom. Formalnością związane z powrotem muszą oni załatwiać w Anglii, co często trwa kilkanaście miesięcy“. („Repatrianci wracają do Kraju“ — „Sztandar Ludu“ z dnia 22.V. br. Nr 121(3694). Podkreślenia nasze J. D. i Z. S.)

wijmy to przyjętym skrótem — „berioowszczyzny”, w okresie „szpiegomanii”, nie usprawiedliwialiśmy sami tych słów. Lęk, niepewność wciąż jeszcze powstrzymują ludzi.

Powrót do Polski musi przestać być dla reemigrantów rodzajem hazardu, niebezpiecznej gry, gdzie ryzykuje się czasem rzeczy najważniejsze.

K. przyjechał sam w styczniu tego roku. Dopiero przed miesiącem przyjechała żona z córką. „Dlaczego?” pytamy. Z jego wypowiedzi można było łatwo odczytać: „Baliśmy się. Nie wiedzieliśmy przecież, jak tu, w Polsce, jest n a p r a w d e. Po co miałem narażać żonę i dziecko...”

Musimy ludziom przyznać prawo do nieufności, bo jeżeli go nie przyznamy, to i tak nieufności tej się nie zlikwiduje. Nie wydaje się nam, żeby to mogło być załatwione przez najlepszą nawet propagandę słowną. Ludzie ufają jednak przede wszystkim swoim zmysłom. I dlatego sądzimy, że najlepszym rozwiązaniem tutaj byłoby umożliwienie tym ludziom przyjazdu do Polski bez zatraskiwania drzewi. Niech odwiedzą rodziny, niech rozmawiają, niech zobaczą, jak żyjemy (któs usłuźnie poinformował nas: takie same projekty wysuwa „Wolna Europa”. Ach, więc popełniliśmy plagiat? Bardzo nam smutno — chociaż plagiat był nieświadomy. Ale ten ktoś uważał to za argument „przeciw”. Gdyby „Wolna Europa” powiedziała, że dzięki niej zbudowaliśmy Nową Hutę, ten ktoś na pewno kazalby ją wysadzić w powietrze).

Widzimy jeszcze jedną formę, która wróciłaby Polsce jej marnotrawnych i niemarnotrawnych synów: ożywienie kontaktów turystyczno-kulturowo-naukowych z zagranicą.

Szczera rozmowa, bezpośrednie zetknięcie się z człowiekiem, gawęda przy kuflu piwa czy kieliszku wódki — może taka forma szybciej od urzędowych, sztywnych rozporządzeń wypełniaby pociągi, statki i samoloty udające się w kierunku Polski.

Prawda jest po stronie socjalizmu — to głębokie przekonanie powinno kierować naszym działaniem.

„Prawda jest po naszej stronie”. Nie chcemy, żeby to hasło stało się sloganem. Prawda jest naszym sprzymierzeńcem w tym znaczeniu, że ona właśnie wyznaczy nasze działanie. Bo jest jeszcze wiele ran, wiele bolących miejsc, które nie pozwalają na bezkrytyczny zachwyty. Ale przecież wcale nie każemy powracającym wpadać w zachwyty, w upojenie — chcemy, żeby razem z nami pracowali.

Sprawa „stopy życiowej”.

Naturalnie, nie jest to problem prosty dla ludzi, którym za granicą powodziło się lepiej. Ale najczęściej starają się rozumieć: osiemset złotych miesięcznie — to nasz spadek po wojnie, po zafaniu, po niektórych błędach, takich, które już naprawiamy, które będziemy naprawiać razem.

A wiecie, co najbardziej, bezpośrednio odpycha ludzi, którzy powrócili? Biurokracja. I nie tylko ta „Wielka Biurokracja”, która podgryza całe nasze społeczne życie, ale także ta mała, z urzędów mieszkaniowych i meldunkowych, biurokracja wcielona w malujące się za okienkiem urzędniczką, w dostojnych, pełnych godności ludzi zza biurka, dla których „petent” jest jakimś niższym gatunkiem człowieka — jeżeli w ogóle człowiekiem.

Jeden z repatriantów przez trzy miesiące chodził do urzędu mieszkaniowego, pisał stosy podań — po to, by w końcu dowiedzieć się, że sprawy mieszkaniowe dla repatriantów załatwia Wydział Społeczno-Administracyjny.

Któryś z nich powiedział:

— Na razie nie pracuję, bo nie miałbym czasu na chodzenie po urzędach...

K. przed paroma miesiącami wrócił z ZSRR. Mówi: „Pojechałbym z powrotem do Związku Radzieckiego.” Nie jako turysta zwiedził Krym i Sachalin, nie jako turysta wędrował od Kijowa do Komsomolska. A przecież...

Sprawy mieszkaniowe. Sprawy niełatwe. Oto nasze lubelskie doświadczenia...

Długo trzeba szukać wskazanego numeru mieszkania. Nie ma go w żadnej z klatek schodowych. Wchodzi się wprost z ulicy. Mieszkanie? Przed wojną była tu jatka mięsna. Pozostałość po jacie — betonowa posadzka. Nisko. Erudno. Trzy łóżka. Śpi na nich sześć osób: małżeństwo na jednym, na drugim dwóch synów, na trzecim — właśnie reemigrant z ojcem. Zarabia nienajgorzej, zadowolony z pracy. Ale mieszkanie...

Wydaje nam się, że nasze zurzędniczałe sfery zagubiły nie tylko poczucie hierarchii potrzeb, ale w ogóle — kontakt z życiem.

Przychodzimy do małżeństwa, które wkrótce powiększy się o małego obywatela. Czyściutko w nowym mieszkaniu. Nowe, jasne meble. Pan Z. nie chce być gołosłowny — wszystko dokumentuje „papierami”. Raty za meble — 420 zł. miesięcznie. Pensja — 800 zł. „Nie wierzycie, że dwie osoby mogą przeżyć miesiąc za 400 złotych?” Prosi nas do kuchni. Wyjaśnia: „Kilogram kości — 6 złotych... kilogram grysiku...”

Pan Z. mimo wszystko jest pełen optymizmu. „Za rok — twierdzi — sprawię sobie nowe ubranie. Będziemy mogli iść razem do teatru czy na zabawę”.

Cały czas pisaliśmy o repatriacji z Zachodu. Nawyk, odruch warunkowy, wytworzony przez naszą prasę. Sprawa wschodniej repatriacji — milczenie. Dlaczego? Dlaczego nie pisze się o tym, że także ze wschodu, z ZSRR, wracają tysiące ludzi? Mówią nam: sprawy drażliwe. Wiemy coś więcej — sprawy bolesne. Sądzimy, że trzeba o nich pisać. Chodzi o to, żeby tym ludziom pomóc. Na punkcie repatriacyjnym dostają po 1000 zł. Pewnie, to ważne, ale jakże to niewiele. Musimy zwrócić im coś więcej — zaufanie.

Ktoś kiedyś powiedział: „O, to kawał historii, proszę pana, historii, której nie znamy w całości, a i to co znamy, nie bardzo mamy ochotę opowiadać”. Jedno jest pewne: wielu z tych ludzi nie popełniło żadnych przestępstw. Byli przestępcami tylko dla Berii i jego zauszników. Musimy im to powiedzieć, jeżeli chcemy odzyskać ich zaufanie. To jest przecież zgodne z polityką naszego rządu. A kiedy milczymy — czują się niepotrzebni. To bardzo niebezpieczne uczucie.

Sprawę tę należy postawić jasno i otwarcie — by zamknąć usta plotce i fantazji, by przede wszystkim, wynagrodzić ludziom krzywdy, by likwidować urazy.

Oni wracają do rodzin, których trzeba szukać tygodnie, miesiące, do rodzinnych miast, gdzie po najbliższych pozostały groby.

Wracają po dziesięciu, po piętnastu, siedemnastu latach. Cieszą się z tego powrotu. Długi kawał

życia spędzili w ciężkich warunkach. Tym lepiej rozumieją trudności powojennej Polski.

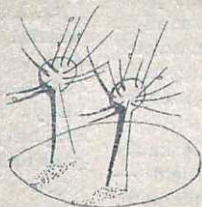
Nie wolno nam rezygnować z walki o całkowite pozyskanie powracających dla przyszłości — i tych z Zachodu i ze Wschodu. Tym bardziej — że wielu nie wróci, że dla wielu Polaków język angielski, francuski czy hiszpański stanie się językiem ojczystym...

Nie, nie odnaleźliśmy żadnej „Polski irracjonalnej”.

Natrafiliśmy na sprawy trudne, skomplikowane, bolesne. Tęsknota do Polski. Tak. Wracają. Często ta tęsknota ulega przedłużeniu. Ale jesteśmy już razem. Marzenia przestają być sprawą wieczornych dumań — są tym, co staje się codziennie.

Lublin, 4—23 maja 1956 r.

Janusz Danielak i Zbigniew Stepek



Augustyn Przywieczerski

KATOLIK O „KONIU GRENADZKIM” *)

Dla mnie „Obrona Grenady” jest próbą wykpienia się od odpowiedzialności. I to próbą, trzeba przyznać, dość sprytną.

„Obronę Grenady” można zrozumieć w zasadzie dwojako.

Idąc za jednym tokiem rozumowania Brandysa, musimy wszystko wytłumaczyć sobie nieodwracalnymi procesami Historii, koniecznością nieuchronnych ofiar. Dr. Faula musimy uznać za coś w rodzaju pasa transmisyjnego pomiędzy historią a społeczeństwem. Dlatego jego winy są tylko konsekwencjami historii.

Idąc za drugim tokiem rozumowania, wszystko musimy uznać za winę jednostki i jej kultu. Zda się nam wtedy, że Brandys radzi łapać dr. Faula i to przedko...

Autor daje nam w zasadzie dwie możliwości interpretacyjne swojego utworu, pozostawia nam jakby do wyboru dwie drogi. Obrazowo wygląda to mniej więcej tak: na rozwidleniu dotychczasowej drogi stoi Brandys w grubej zbroi, która ma go ochronić przed wszelkimi ewentualnymi

uderzeniami. Gdy podejżdza do rozwidlenia jakiś zdenerwowany rycerz współczesności — Brandys pokazuje mu swoją „Obronę Grenady”. — „Chcesz bronić Grenady?” — wjeżdżają na drogę po prawej stronie. Zdenerwowany rycerz współczesności rusza galopem, by w obronie pokrzywdzonych wbić swoje pióro w brzuch złego czarownika Faula.

Na razie w naszej publicystyce nie ma kandydatów do wjechania na drugą drogę. Ale tym przecież nie potrzebuje się autor martwić. W tak mistrzowskim uniku możemy naprawdę podziwiać talent czołowego pisarza socjalistycznego realizmu.

Brandys miał szerokie zamówienie społeczne na swoją „Obronę Grenady”. Od całego społeczeństwa, które domagało się krytyki błędów i krytykowania winnych — miał też zamówienie „społeczne” od Faulów.

*) Przemówienie na Konkursie Krasomówczym w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w dn. 15.IV., wyróżnione II nagrodą.

I Brandys, o dziwo! Potrafił „pogodzić“ z sobą te dwa zamówienia. Umożliwiła mu to ucieczka w „rajską dziedzinę uludy“. Udało mu się dzięki temu, że sprawę wielkiego rozrachunku z narodem zamknął w wąskim kręgu między teatrem na ulicy Polnej a gabinetem Dr. Faula.

Artyści z „Grenady“ są idealnie oderwani od społeczeństwa. Alfą i omegą było dla nich przez lata tylko to, co mówił Dr. Faul.

Nic więc dziwnego, że wkrótce sami stali się faulami...

Za każdym faulem zaś, pośrednio czy bezpośrednio, stoi w opowiadaniu Brandysa fatalistycznie pojmowana historia z fatalistyczną koniecznością ofiar.

Za pomocą tej wielkiej mistyfikacji stworzył Brandys cały łańcuch faulów i grenad.

Mickiewicz mówił o ludziach zamroczonych wiekiem, którzy swoim przytępieniem wzrokiem zakreślają tylko małe koło na rzeczywistości. Kółko, które na współczesnej rzeczywistości zakreślił Brandys, ma to do siebie, że mogą na nim powstać kolejne faulowie i mówić — „my z Grenady“. Sam autor mówi zresztą — „ja też miałem swoich faulów“, choć o kilka kolumn wcześniej przyznaje się, że brał udział w stu rozmowach, na których lamano ludzi i zna metody.

Cud Brandysowej drogi polega na tym, że każdy faul może nią jechać, bić się ze swoim faulem — co chociaż bardzo przypomina walkę z ciśnieniem, ale pozwala przedostać się na następny etap. Faule grubszego kalibru, którym nie wypada gonić własnych cieniów, mają u Brandysa zapewnioną drugą drogę. Mogą się nią przedostać na następny etap, zasłaniając się historią (bo przed nią tylko odpowiedzialni), nieuchronnymi procesami i koniecznością ofiar.

Brandys chce nas przekonać, że nie warto ich zatrzymywać. Bo są teraz ważniejsze sprawy.

Powiedział w swoim opowiadaniu wiele słusznych rzeczy, przeprowadził wiele słusznych krytyk... i właśnie dzięki temu nabrał sporo porządnym ludzi.

Wszystko to bowiem miesza się z jedną rzeczą niesłuszną, bardzo niesłuszną.

Można się spytać czołowego pisarza marksistowskiego, kto robi rewolucję i kto tworzy historię?

Chyba masy, prawda?

A przecież z konfliktu rewolucyjnego sumienia zrobił Brandys w swoim opowiadaniu sprawę prywatną pomiędzy resztkami z Grenady a Dr. Fauliem. Naród, społeczeństwo zawęża autor do „lada mydłów“, „byłe kanalii“ i „kołtunów“ z bródkam, którzy przecie nie mają prawa grzebać w rewolucyjnym sumieniu.

Tak więc Brandys chce się wykić od odpowiedzialności nie tylko usprawiedliwieniem Faula — ale też rzekomą obroną Grenady, bo on przecież też może powiedzieć — ja z Grenady. Społeczeństwo — do tego „prywatnego“ konfliktu nie powinno się więc wtrącać — gdyż u Brandysa historię tworzy Faul i artyści z Grenady.

Historię autor sfetyszyzował, uczynił z niej niemaszowego bożka Molocha. Historię u Brandysa rządzi fatalizm. Autor wstydi się widocznie powiedzieć, że „tak już widać musowo było przepisaną“, dlatego mówi to za niego prosty człowiek.

Wykazuje się dzisiaj codziennie, że przyczyna wszystkich dotychczasowych błędów leży w niedostatecznej łączności partii z masami narodu. Że linia partii powinna być ustalona wolą narodu. To jest jedyne lekarstwo przeciwko wszelkiego rodzaju faulom. Rozumie się już teraz, że rewolucja ma służyć bezpośrednio człowiekowi — w imię czego więc usprawiedliwia Brandys dalsze bezsensowne ofiary podobne do tej, jaką złożyła Grenada?

Przypomnijmy sobie, jak ostre były ataki Kuczyńskiego i innych publicystów „Po prostu“ na katolicki humanizm. Jak zawiłe były argumenty, za pomocą których usiłowano wykazać, iż samo przyjęcie Boga, nie zaś człowieka, jako celu ostatecznego — z góry podważa istotę humanizmu.

Uważam, że w socjalizmie tkwią głębokie pierwsiatki humanistyczne. Ze rzeczywistością się one w miarę umacniania się rewolucji. Dlatego twierdzą, że jeżeli łamie się człowieka, który chce służyć sprawie socjalizmu, w imię jakiegokolwiek etapowej dyrektywy, robi się to nie tylko wbrew jakemukolwiek humanizmowi, ale popełnia się ciężkie wykroczenie przeciwko rewolucji. Dlatego jednak Brandys przez stworzenie nowych perspektyw inkwizycji próbuje przeszarżować swoich faulów na następny etap — tego nie rozumie.

Pół roku temu powiedział mi pewien działacz partyjny — „ano, jak przyjdą nowe dyrektywy, to znów będziemy sztywnieć“. Trzeba jednak pamiętać, że każde zeszytnięcie, jest rzeczywistym zeszytnięciem rewolucji i przynosi z sobą nowy zastęp doktorów faulów.

Dziś rozumie się już, że tylko oparcie o społeczeństwo daje rewolucji siłę. A oznaką siły jest stale wzrastająca wolność. Uważam, że prostą konsekwencją rewolucji socjalistycznej jest wspólna praca ludzi wolnych na równych prawach i bez dyskryminacji światopoglądowej. Tylko to może dać rewolucji rzeczywistą siłę i uczyniwszy jej humanizm. Ale do tego nie dojdziemy żadną z dróg, na które chce nas skierować Brandys, bo te drogi się rozwidlają. Na każdej z nich Dr. Faul znajdzie dla siebie wygodną ścieżkę.

Nowela Brandysa jest humanistyczna i mistyfikatorska. Brandys broni się metodami kapitalistycznej burżuazji — argumentem, że zło jest wynikiem nieuchronności procesów historycznych i argumentem odpowiedzialności nie przed narodem, ale przed historią.

Brandys mówi, że Dr. Faul był silny jak koń. Tak, był już koń trojański, jest teraz koń grenadzki. Ale to jest koń, któremu na topniejącym w odwilży lodzie rozjechały się nogi.

Augustyn Przywieczerski

CYTATA ZA METAFORĘ

Tylko faulom metaforę poświęcam
m. b. r.

Wśród dzieł znakomitego hiszpańskiego publicysty-satyryka Mariano Jose de Larra (1809—1837), które znajdziesz, Czytelniku, w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego*), bądź ułatwiwszy sobie zadanie — w tegorocznym wyborze radzieckim, jest sporo felietonów posiadających szczególną siłę dowodową dla tezy o „współczesności“ klasyków literatury światowej. Oto więc przyrzeczona cytata.

CZŁOWIEK SĄDZI, A BÓG RZĄDZI (czyli co to jest być dziennikarzem)

Wielką prawdę wypowiedział człowiek, co pierwszy użył tego tak dziś utartego przysłowia. O ile niektóre sentencje starzeją się i wietrzeją z biegiem czasu, o tyle ta wręcz przeciwnie z każdym dniem nabiera nowej mocy. Wyznaję, iż gdybym miał pecha urodzić się poganinem, przysłowie to stałoby się jednym z powodów, które by mi nie pozwoliły na uznanie wielości bogów; bo mnie, człowieka krnąbrnego i niezależnego, przerażałaby myśl, że skoro tylko pocznę sądzić, tysiące bogów będzie rządziło mymi sądami. Ale (...) dziennikarz jest człowiekiem wątłym i kruchym. Trudno byłoby negocjować, że dziennikarz to istota świetnie wychowana, gdy się weźmie pod uwagę, że nie posiada własnej woli. Lecz niezależnie od dobrego wychowania, musi on łączyć w sobie przymioty nieomal wszystkich żywych stworzeń: ażeby był mocny i wytrzymały, musi mieć charakter osła i jego pewny krok, by się nie ześliznął z wąskiej i niekiedy niebezpiecznej ściany, którą wypada mu brnąć i niczym osioł musi tulić uszy, gdy śmignie nad nim kij. Powinien umieć, jak wielbłąd, obywać się całymi tygodniami bez pożywienia a kroczyć po pustyni z dumnie uniesioną głową. Musi posiadać szybkość sarny na wypadek grożącego niebezpieczeństwa, czyli na dzień, w którym Bóg ku jego nieszczęściu zarządzi inaczej, niż on sądził. Niezbędny mu jest psi węch, żeby na czas zwietrzył zwierzynę i oszczekał żebraka; musi nadto wiedzieć, na kogo ma się rzucić i kto z woli boskiej trafi mu na kiel. Potrzebuje bystrego oka ryśia, żeby z twarzy tego, który nim rozporządza, wyczytać, co powinien o czymś sądzić; potrzebuje też słuchu dzika, ażeby z daleka dosłyszeć odgłosy buntu. Musi jak kret udawać martwego, dopóki nie przeminie burza, i posuwać się naprzód jak zółw, tak drobnymi i wolnymi kroczkami, by nikt nie dostrzegł jego ruchu, albowiem nic nie jest w stanie przerazić otoczenia do tego stopnia, co posuwający się naprzód dziennikarz. Musi on czołgać się wstecz jak rak, jeżeli zapuścił się zbyt daleko, a niekiedy

kryć się w krzakach jak wąż; musi zmieniać skórę jak jaszczurka, gdzie i kiedy trzeba. Powinien być uparty jak wół i uroczko niekonsekwentny jak kobieta. Musi mieć się stale na baczności jak jeleń i jak pijawka być przygotowanym na to że go przetnie nożycami ten, komu on uratował życie. Powinien jak muzyk rozeznawać się w fudze, to jest w następstwie goniących się głosów, by nie śpiewać basem partii opracowanej na kontrabas. Wreszcie powinien jak małpka umieć stroić słodkie miny w odpowiedzi na trudne pytania. Tyle analogij ze świata zwierzęcego.

Sięgając po nie do świata roślinnego zauważymy, że dziennikarza, podobnie jak roślinę, może zniszczyć huragan, chociażby wydawał dobre owoce. Powinien uginać się na wietrze jak trzcina, ale w odróżnieniu od trzciny nie wolno mu szemrać; musi on wyrastać na bagnie jak szuwarek; musi cierpliwie poddawać się podcinaniu wedle życzenia bóstwa i przybierać kształt, jaki mu nadaje ogrodnik; powinien jak tarnina wbijać kolce w nogi bezbronnych wędrowców, a ślać się pod stopy możnych; w dni pochmurne powinien związać płatki jak kwiat szafranu (...); musi przybierać barwę, jaką mu nadają promienie słońca; powinien umieć jak orzech odbijać światło, a czasem rzucać cień; jak słońce obracać twarz ku najbardziej szczodrej gwiazdzie, inaczej skończy źle (...) Powinien zabijać oplatając łagodnie jak bluszcz.

(...) A nade wszystko nie wolno dziennikarzowi liczyć na dzień jutrzejszy; (...) dlatego też nigdy nie powinien mówić (...): „Ta gazeta ukazuje się co dzień prócz poniedziałku“ lecz odwrotnie: „O tej gazecie można powiedzieć z pewnością tylko tyle, że nie ukazuje się w poniedziałki“.

Albowiem człowiek sądzi, a Bóg rządzi.

Przełożyła Maria Bechcyc-Rudnicka

*) *Obras completas* — * 01594 (47, 48).



DROBNOMIESZCZAŃSTWO CZYLI WRÓG SOCJALIZMU NR 1

O drobnomieszczaństwie mówimy bardzo rzadko. Często skłonni jesteśmy przyjmować, że takie zjawisko nie znajduje głębszego uzasadnienia w naszym życiu albo że w społeczeństwie zdążającym do socjalizmu wręcz nie istnieje.

Bo któż to jest ów osławiony przedstawiciel dulszczyzny? Ani wróg publiczny Nr 1, ani aferyzta, ani sabotażysta czy też inny „zdrajca narodu“.

Często gotowi jesteśmy sądzić, że drobnomieszczanin — to człowiek, który ma na swoim ankietowym koncie trochę obciążeń posiadłościowych — jakiś był kupiec lub pomniejsza inicjatywa prywatna.

Ale w praktyce okazuje się, że wówczas, gdy kupiec czy inny kramikarski zawodowiec został usunięty na peryferie naszego życia, drobnomieszczanin pozostał w dalszym ciągu. Zmienił tylko swoje oblicze i już mógł urastać spokojnie obok nas, a często i w nas samych, uchodząc czujności personalnego.

Drobnomieszczaństwo nie idzie obecnie w parze ani z pochodzeniem społecznym, ani z wykształceniem, ani z miejscem zamieszkania. Może rozwijać się w zależności od dogodnej dla siebie atmosfery i w Warszawie, i w Lublinie, i w rodzinie proletariackiej, i inteligentkiej. Drobnomieszczaninem może okazać się człowiek obcy naszym przekonaniom i człowiek legitymujący się naukowym poглядem na świat.

Drobnomieszczaństwo obecnie to nie pewna określona warstwa społeczeństwa — drobnych posiadaczy, urzędników i innych mieszczuchów. Słowo to stało się dziś swoistą metaforą, używamy go w znaczeniu przenośnym.

Bo drobnomieszczaństwo dla nas to pewna określona postawa wobec życia. Postawa zamykająca się w wąskim minimalistycznym programie życiowym ułożonym w imię własnego tylko dobra i własnego tylko spokoju. W programie oportunistycznym.

Różne są przejawy i aspekty tego rodzaju dulszczyzny. Spotykamy się z nimi na każdym niemal kroku.

Przejdźmy się chociażby po naszym Lublinie. Albo już dla paradoksu odwiedzmy niektóre rodziny w nowych osiedlach — tzw. ZOR-ach. Ręczę, że inscenizator „Moralności pani Dulskiej“ znalazłby w niejednym mieszkaniu gotowe modele do dekoracji domu państwa Felicjanowstwa i niejeden model do kreacji aktorskiej w tejsze komedii. Wnętrze mieszkań to sprawa drugorzędna, ale jakże istotna. Wnętrze mieszkańców nie od-

biega jednak niestety od tego rodzaju pokojowych dekoracji.

To przecież w tym środowisku pół roku temu zdarzył się następujący wypadek: córkę, która zaszła w ciążę bez otrzymania ślubu kościelnego, wyrzucono na ulicę. Dosłownie. Jedyna motywacja rodziców brzmiała: „Co o nas teraz powiedzą? Taki wstyd“. Tę samą córkę zmuszono później do przeprowadzenia ślubnych ceremonii kościelnych. Nie dlatego, że rodzice byli głęboko wierzącymi ludźmi. Dlatego tylko, że tak „wypada“, że tak jest „moralniej“. Fakt ten nie jest zresztą odosobniony, czy rzadko spotykany.

Nawet w środowisku wysoko wykształconej inteligencji drobnomieszczański stosunek do życia aż kwitnie. Nie są ważne czyny i fakty, ważne natomiast są ich pozory. Nie jest ważna wartość i praca człowieka, ważny natomiast jest jego tytuł, godność i wysokość zarobku. Moralność podpięta się taktyką zachowania pozorów, a obłudą jak wygodnym parawanikiem zasłania się wszelkiego rodzaju bezeceństwa.

Zajrzyjmy wieczorem do domów studenckich przy ulicy Langiewicza. W niejednym pokoju zobaczymy to samo — brydż, brydż i jeszcze raz brydż. Brydż pojmowany niemal jako dogmat studenckiego życia, jako zasadniczy element jego uatrakcyjnienia.

Po wypiciu stypendium w pokojach takich jest zwykle bardzo głośno i wesoło. W myśl horacjuszowskiego hasła „carpe diem“ przepija się całe uposażenie przeznaczane na miesięczne utrzymanie i naukowe pomoce. Nic dziwnego, że uczestników tego rodzaju biesiad nie ujrzy się nigdy w teatrze czy na koncercie. Te rzeczy są wielu studentom niepotrzebne. Czy z ludzi o tak wąskim programie życiowym i tak miernych zainteresowaniach wyrośnie nowa kadra budowniczych? Chyba nie. Powiększy się raczej grono „półinteligentkich niewypalów“.

A owa słynna lubelska plotka! Rozprzestrzenia się w najrozmaitszych instytucjach, szkołach, urzędach. Rozciąga swoje macki na najbardziej intymne sprawy, stale i systematycznie obrzydza i profanuje życie innych. Swoją lepką siecią omotała częstokroć „bogu ducha winnych“ ludzi. Plotka krywdząca i szkodliwa.

Rozejrzyjmy się czujniej po naszych redakcjach. Etyka niejednego dziennikarza często jeszcze nasiąknięta jest elementami oportunistycznymi. Pogoń za najbardziej atrakcyjnymi, „chodliwymi“ tematami, ucieczka od drażliwych i wymagających większego wysiłku zagadnień, często zawiść w stosunku do tych, którym się lepiej pisze, walka

z tymi, którzy nie chcą ciągle „chować głowy w piasek” czy „nabierać wody w usta”.

Zajrzyjmy w głąb rodzin ludzi nawet wysoko inteligentnych. Często dostrzegamy tam typowe jeszcze, niestety, zjawisko. Mąż, działacz społeczny, aktywista, czasami nawet długoletni pracownik naukowy. Żona — przysłowiowa „kurka domowa” obciążona pracą wokół dzieci, dźwigająca na swoich barkach każdą trochę codziennego dnia. Mąż do teatru, do kina, na akademię wybiera się bez żony. Bo jej domeną działania ma być kuchnia i domowe gospodarstwo. Bo ona jest tylko dodatkiem, niezbędnym, ale jakże mało ważnym dodatkiem do męża.

To zaledwie parę przejawów drobnomieszczaństwa. Wydaje mi się, że często nie doceniamy zła, jakie niesie ze sobą ten właśnie stosunek do życia. Nie znaczy to, że obecnie przedstawiciel dulszczyzny jest dla nas najgroźniejszym przeciwnikiem. Rzecz jasna, że szkodliwa dla społeczeństwa działalność może nie mieć nic wspólnego z drobnomieszczańskim oportunistycznym — może wywodzić się z ataku politycznego wroga pragnącego wszelkimi dostępnymi środkami podkopać nasz ustrój. Ale jest również rzeczą jasną, że z człowieka o ciasnej mentalności, człowieka, którego cały światek ogranicza się do własnych spraw, nie będzie komunisty. Oportunistyczny stosunek do życia stał się systematycznie rodzi wrogów rewolucji. Bo drobnomieszczaństwo przestało być obecnie tylko i wyłącznie kategorią obyczajową. Zło tego właśnie zjawiska przeciąga swoją sieć przez sprawy o wiele bardziej ważne i zasadnicze. Dziś zmieniła się i rozszerzyła funkcja społeczna tak zwanej „dulszczyzny”.

Często umiemy dostrzec wroga klasowego, właściwie ocenić znaczenie antagonistycznej walki, gubimy natomiast ostrość spojrzenia na człowieka — karierowicza, człowieka — chorągiewkę. Tymczasem jak wiele cech z groźnej drobnomieszczańskiej postawy jest w człowieku z legitymacją partyjną od święta, a machnięciem ręki („...a niech sobie robią co chcą...”) na codzień. W człowieku, który umie przybierać różnorodne oblicza w zależności od otoczenia, Człowieku, dla którego jest zawsze najważniejszy jego chleb z masłem, pokój z wygodnymi meblami i garnitur ze stuprocentowej wełny. Człowieku bez „brandzła” — jak napisałby Owieczkin.

Jak wiele momentów stycznych z Daumem i Dulską ma dzisiaj dygnitarz siedzący na dyrektorskim fotelu i obrastający w biurokratyczne piórka. Przecież to jego niemal słowa słyszymy w komediach Gabrieli Zapolskiej; słowa mówiące o taktyce zachowania pozorów, unikaniu tzw. skandalu, o płaszczykach rzekomej praworządności.

Nawet typowe dla „dulszczyzny” wygodnictwo staje się częstokroć wygodnictwem politycznym. Znamy tego rodzaju postawę wobec życia bardzo dobrze. Wzrastanie w dostatek kosztem poziomu

życia innych. Dążenie do awansu poprzez fałszowanie planów produkcyjnych i mydlenie oczu władzom, zapewnianie sobie spokoju poprzez dławienie krytyki, troskę tylko i wyłącznie o własną skórę. Przykłady tego rodzaju zjawisk można zresztą mnożyć w nieskończoność.

Nawet typowy relikw dulszczyzny — plotka — nabiera odmiennego nieco sensu. Atmosfera podejrzeń, najrozmaitszego rodzaju insynuacji, paniki, może systematycznie podkopywać zaufanie między ludźmi, częstokroć niesłusznie podrywać autorytet, wypaczać poprzez nieuzasadnione podejrzenia charakter człowieka. W Ekspozyturze Polskiego Radia znajdują się cały szereg listów, skarg i zażaleń na niesłuszne osądzenia, na bezpodstawnie wydawane opinie, na zwalnianie ludzi z pracy, jak to stało się ostatnio z pracownikiem Wydziału Zdrowia w Mełgwi na skutek dowodów sporządzonych tylko i wyłącznie według własnego „widzi mi się”. Listy te świadczą, jak skuteczną bronią może być plotka i w rękę wroga antagonistycznego, i nieantagonistycznego.

Drobnomieszczaństwo, i to o starszym, i to o młodszym obliczu, nie jest jednak „siłą fatalną”, której nie dałoby się przy pomocy umiejętnej walki zdemaskować i unicestwić.

W lubelskiej walce z tego typu przeciwnikiem zagubiliśmy jednak skuteczną broń — ośmieszenie przeciwnika poprzez satyrę, celnie zastosowaną ironię, parodię czy też drwinę. Minął już dawno ten okres czasu, kiedy odtrącaliśmy twórczość Gałczyńskiego zarzucając mu, że „...mają drobnomieszczańskie nie pozwala ujrzeć wielkiego kołtuna”, kiedy deprecjonowaliśmy demaskatorstwo Gabrieli Zapolskiej wytykając jej na trybunie krytyki „ustraszanie filistrów i mitologizowanie zła”.

Przywróciliśmy właściwe proporcje wartości i Gałczyńskiemu, i Boy’owi Żeleńskiemu, i Zapolskiej. Ich metody walki ze złem są jednak w dalszym ciągu przez naszą życiową praktykę całkowicie zaniedbane.

W Lublinie zabrakło żarliwej, twórczej satyry, czy to w postaci literackiej, czy też teatralnej lub plastycznej.

Twórczość satyryczna młodych nie jest jeszcze na tyle dociekliwa i zaczepna, aby skutecznie pomagała ośmieszać atmosferę i likwidować warunki, w których rodzi się nowy człowiek Obrzydówka. Aby zaczęła nadawać ton i kierunek zjadliwej krytyce.

Satyryczne audycje ogłaszane niekiedy przez Ekspozyturę Polskiego Radia nacechowane są krytyką typu interwencyjnego, krytyką potrzebną, ale nie zastępującą długofalowego działania satyry czy też satyrycznego pamfletu.

Lubelskie środowisko uniwersyteckie, jeśli chodzi o podjęcie tego rodzaju broni, wykazuje również mało aktywności.

W Warszawie, w Gdańsku istnieją i szczytą się wielką popularnością studenckie teatry satyryczne.

Kto był chociaż raz na występach teatru warszawskiego, kto słyszał, w jaki sposób wyciągało się na forum publicum drażliwe sprawy dotyczące nie tylko zresztą drobnomieszczańskiego stosunku do życia, na tym teatr ten wywarł na pewno silne wrażenie.

Uniwersyteckie środowisko lubelskie posiada również sporo aktywnych i głęboko ideowych studentów. Jest też trochę początkujących, zdolnych literatów. Czy nie warto zastanowić się nad utworzeniem studenckiego teatru satyrycznego właśnie w Lublinie. Chwytać na gorąco aktualne lubelskie problemy, przygwaźdzać satyrą drobnego i dużego kołtuna wnosząc świeży oddech w zaśnieżoną częstokroć atmosferę. Tego rodzaju działalność cieszyłaby się na pewno większym poklaskiem niż np. prace nad wystawieniem „Maturzystów“ Skowrońskiego czy „Niemców“ Kruczkowskiego przez amatorski zespół dramatyczny przy UMCS.

Czy nie warto również sięgnąć do literatury, która i dziś może być aktualna w walce z tym, co nazywamy „drobnomieszczaństwem“. W roku bieżącym „Moralność pani Dulskiej“ obchodzi 30-lecie swego istnienia. Nie powiedziałabym, ażeby ta sztuka „zamknięta (...) w 4-rech ścianach mieszczańskiego domu i bardzo daleka od wielkich „ogólnoludzkich konfliktów“ musiała być odłożona do lamusa. Życie codzienne wskazuje na jej pełną wartość i aktualność. Czy nie warto również sięgnąć do grotesek i satyr Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego czy Tuwima? Odnówić spojrzenie na Boya-Żeleńskiego, którego „Słówka“ obchodzą również swój jubileusz. Przypomnieć „Dziewicę konsystorskie“ i inne szkice publicystyczne sięgające do odklamanywania współczesnej mu obyczajowości?

Dogodnym terenem do tego rodzaju praktyk może być przecież klub ZZPKiST lub nowoorganizowany Klub Młodej Inteligencji, który chyba będzie

najbardziej predysponowany do stania się czymś w rodzaju „lubelskiego wulkanu“. Słuszny był również projekt zlikwidowania autonomicznych gazet uniwersyteckich i utworzenie środowiskowego pisma studentów i młodej inteligencji, pisma, które byłoby swego rodzaju lubelskim „Po prostu“. Młodzi z Lublina żywią jednak słuszne obawy — czy przypadkiem działalność tego pisma nie ograniczy się tylko i wyłącznie do problemów z życia UMCS, Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Rolniczej, pozostawiając na uboczu sprawy dotyczące całej młodej inteligencji naszego miasta. Należałoby już teraz zastanowić się poważnie nad ostateczną koncepcją pisma i przystąpić do realizacji dawno już wysuniętego projektu.

Propozycje przeze mnie wysuwane są, rzecz jasna, niepełne i fragmentaryczne. Walki o nową moralność, o nową kulturę i etykę nie wygra się jedynie przez wyśmiewanie i napiętnowanie drobnomieszczańskiego stosunku do życia, poprzez demaskowanie karierowiczostwa. To tylko jedna strona tej walki. Jej zakres jest niewspółmiernie szerszy — ofensywa nowej kultury i literatury poprzez zakładanie coraz to nowych placówek kulturalno-oświatowych, sprawniejszą organizację toku studiów i nauczania, przywrócenie w całości leninowskich norm w życiu partyjnym itp.

Niemniej jednak w tym boju z drobnomieszczaństwem i oportunistem nie powinniśmy zaprzepaścić tak cennej broni, jaką jest demaskatorska satyra, parodia czy drwina. Inaczej słuszne ubolewanie Putramenta, że: „Przecież Żeromski i Boy-Żeleński i Zapolska więcej wkładali pasji w walce z „Moralnością pani Dulskiej“ niż my wszyscy razem“ — pozostanie w dalszym ciągu aktualne.

Alina Aleksandrowicz

J. W. GOETHE

NAD RZEKĄ

Przełożył STEFAN ZARĘBSKI

Gdy mieszkasz nad szeroką rzeką —
Czasem byś, płytka, przeszedł w bród;
Lecz otocz łąki swe opieką —
Wnet je zamulą strugi wód.

W pogodny dzień mkną z prądem łodzie,
Pod prąd roztropnie rybak przeje;
A oto krzepnie lód na wodzie:
Dziatwa po śliskim igra szkle.

Ty patrz i zważaj, lecz bez przerwy
Wykonuj, coś zamierzył raz!
Nie wstrzymuj się — do przodu nie rwij:
Miarowym rytmem płynie czas.

SONET

Cwiczyć się w odrodzonej wiersza dyscyplinie —
To święty obowiązek — twój właśnie, poeto!
Przestrzegając reguły ścisłej — i tyś przeto,
Naszym wzorem, tę formę pielęgnować winien.

Ograniczenie sztuce sprzyja. W nim jedynie
Oprzesz się bowiem ducha zbyt silnym impetom,
Który choćby i poniósł — strof spiętrzony meta
Pełniej się oto w dzieła granicach rozplynie.

Chciałbym i ja w sonetu kunsztownej postaci,
W całych dumnej maestrii powabach i mocach —
Głosić rym swój, uczucia głębiej odkrywając.

Tylko nie wiem, jak zgłębiać się do tej pracy:
Tak dotychczas lubilem ciąć z całego kłoca,
A tutaj, cóż — sklejeniem trzeba by się zająć.

Przełożył *Stefan Żarebski*



Wacław Gralewski

ŚMIERĆ, KTÓRA NIE JEST ZATRATA

Daleko jest do Bogatyni. Z Jeleniej Góry trzeba jechać autobusem ponad pięć godzin. To gdzieś blisko Zgorzelca, jednego z naszych punktów granicznych z NRD.

W Bogatyni, zapadłym miasteczku zachodnim, jest duża wytwórnia win i przetworów owocowych. Załoga robotnicza liczna. Tutaj w dniu 13 lutego zginął bohaterką śmiercią lublinianin Andrzej Kelles-Krauze.

W zakładach remontowano stare zbiorniki, których ściany trzeba było powlec nową okładziną, dającą gwarancję nieprzepuszczalności i obojętności w stosunku do procesów fermentacji wina.

Zbiorniki te mają charakter jakby dużych bunkrów, do których wnętrza wsuwać się trzeba przez wąski otwór. Pracę dokonywano przy pomocy silnych palników benzynowych. I oto w jednym z tych zbiorników zdarzył się wypadek, którego szczegóły trudno ustalić. Pękł, zdaje się, przewód doprowadzający benzynę i oblał młodego robotnika. Objęty płomieniami zdołał wydostać się z otworu wołając: ratujcie kolegę. Rzucono mu się na ratunek, a jednocześnie drugi ro-

botnik skoczył do wnętrza zbiornika. W tym momencie, zaalarmowany, nadbiegł Kelles-Krauze. Widząc przerażenie obecnych i zorientowawszy się w sytuacji, skoczył do wejścia zbiornika i dostał się do wnętrza. Na szczęście płomień zgasł, ogień więc nie zagrażał. Udało mu się wyciągnąć na zewnątrz robotnika, który pierwszy skoczył do zbiornika z pomocą i leżał bez przytomności. Z kolei wsunął się do zbiornika po raz drugi, gdyż znajdował się tam również nie dający znaku życia technik Chrobaczewski, kierownik roboty. Tym razem nie udało się. Widocznie powalił go silnie trujący gaz powstały z rozkładu syntetycznej benzyny. Gdy po upływie pewnego czasu udało się zarówno Chrobaczewskiego, jak i Kelles-Krauzego wydostać na zewnątrz, obaj już byli martwi.

Tragiczny wypadek wstrząsnął pracownikami Bogatyni. Pogrzeb ofiar miał charakter manifestacyjny.

Andrzej Konrad Kelles-Krauze urodził się 30 września 1920 r. w Krakowie, ale już w pierwszych miesiącach życia rodzice jego przenoszą się do Lublina

i tu osiadają na stałe. Ojciec, architekt i artysta malarz, staje się postacią znaną szeroko w naszym mieście. Matka, utalentowana śpiewaczka, zdobywa wkrótce popularność. Dziś pracuje w Warszawie jako



pedagog w jednej ze szkół muzycznych. Córka — to dzisiaj znana aktorka operetkowa, Beata Artemska. W domu Kelles-Krauzów gromadzili się wybitni przedstawiciele inteligencji twórczej, odbywały się koncerty, zebrania dyskusyjne itp.

Andrzej Kelles-Krauze skończył szkołę średnią w Lublinie, po czym wstępuje do Szkoły Morskiej. Wybuch wojny unicestwił jego plany pracy na morzu. Po wyzwoleniu kończy Wyższą Szkołę Handlową, a następnie pracuje na Wybrzeżu. Po pewnym czasie przenosi się do Warszawy, a ostatnio objął stanowisko kierownicze w Bogatyni.

Przywiózł tam z sobą nie tylko duży ładunek energii, zapału do pracy, ale i jeszcze coś bardzo cennego: wielką potrzebę działalności społeczno-organizacyjnej i kulturalnej. I oto w krótkim czasie, z jego inicjatywy, stworzono koło śpiewacze i artystyczne, organizować zaczęto sekcję bokserską. A i dalsze projekty były ambitne. Rzucane myśli znalazły podatny grunt. Załoga robotnicza serdecznie polubiła nowego kierownika i dała się wciągnąć do pracy takiej, jakiej dotąd nie miała. Z zapałem zaczęto uczęszczać na zebrania i próby, projektowano nawiązanie kontaktów sportowych i artystycznych z innymi ośrodkami. Również praca nowego kierownika w zakresie zawodowym zyskała mu uznanie przełożonych.

Bohaterska śmierć Andrzeja Kelles-Krauze szczególnie duże wrażenie zrobiła w Lublinie, gdzie miał wielu przyjaciół i znajomych. Ten zawsze uśmiechnięty i serdecznie do wszystkich odnoszący się człowiek zdobywał szturmem sympatię każdego kto go poznał. Był entuzjastą sportu i sztuki. Pracę uważał za miernik istotnych wartości człowieka. Śmierć jego była wymownym obrazem stosunku do życia, którego treścią był obowiązek i poświęcenie.

Żyjemy w trudnym okresie tworzenia nowego życia społecznego i kulturalnego, którego fundamentem muszą się stać istotne wartości moralne. I dlatego bohaterska śmierć Andrzeja Kelles-Krauze, związana z najgłębszą istotą człowieczeństwa, zasługuje na długą, żywą pamięć.

Wacław Galewski

Józef Nikodem Kłosowski

MIASTECZKO NAD RZEKĄ

(Fragmenty z powieści pt. „Berło”)

1.

W ciszy jesiennego popołudnia rozległ się krótki, alarmujący gwizd lokomotywy, gubiąc się w okolicznych jarach, dołach i krętych, ocienionych wąwozach. Z lasu wypadł zniecka pociąg i ciężko dysząc biegł co tchu przez żzęte, świeżo zaorane pola, przez płaskie łąki i rdzewiejące kartofliska.

Julka stojąc w oknie wagonu obserwowała piękny, pofalowany krajobraz, chłonęła barwę żółknących drzew, zielen sosen i zapach tłustej ziemi. Dzień był ciepły, pogodny. Miał kolor lipcowego miodu, zalatywał jałowcowym dymem i rozczyntonym chlebem.

Niebo połyskiwało steżalym błękitem, a nad horyzontem piętrzyły się chmury podobne do gór topniejącego śniegu. Tu, to tam migotały potoki, płonęły szyby mijanych chałup i srebrzyły się nitki babiego lata. W smagłą, opaloną twarz dziewczyny uderzał miękki wiatr, niosąc z sobą aromat jesiennych pól, pomieszany ze śwędem parszającej lokomotywy. Było duszno.

W okno chłastały raz po raz wierzchołki wysokich drzew, na drutach ćwiergotały jaskółki, na lewo wyskoczyła z sosnowego zagajnika jakaś uboga wioszcyna, potem znów zaciemniał las, błysnęło jezioro

i zaraz zza zakrętu ukazały się łagodne wzgórza, na których rozłożyło się niewielkie, białe miasteczko.

Pociąg gwizdał coraz głośniej, przeraźliwiej, minął długi drewniany most i sapiąc astmatycznie, zatrzymał się na niepozornej stacyjce, zagubionej w gąszczy klonów i dzikiego wina. Pod ścianą skromnego budynku złożyły się jeszcze słoneczniki, rosły malwy i żółte nagietki. Na ganku drzemał brązowy kundel, wykorzystując ostatnie dni słońca.

Julka chwyciła swoje rzeczy i, przecisnąwszy się przez ciżbę pasażerów, wyskoczyła na peron. Tutaj rozejrzała się, otrzepała prochowiec i powoli ruszyła przed siebie.

— Daleko stąd do miasta? — zwróciła się do staro- wąsatego dorożkarza, oczekującego na podróż- nych.

— Trzy i pół kilometra — odparł zapytany z zachę- cającym uśmiechem. — Pojedziemy. Proszę, niech pa- nienka siada. Nie zdeże! Tanio, dobrze i wygodnie. Bo kto by tam drałował piechotą taki kawał drogi?

— Dziękuję.

— Nie? Za jedną dyche!

— Pójdę. Taka ładna pogoda! — była zmęczona jazdą, ale nie mogła sobie pozwolić nawet na taki drobny wydatek. Toteż prędko minęła furmankę i po- szła razem z ludźmi. Do miasta prowadziła szeroka, dobrze utrzymana droga, wysadzana po obu stronach starymi sokorami.

Julka szła wolno. Z przyjemnością wdychała rze- śkie powietrze, przesycone zapachami jesieni. Cieszyła się, że nareszcie dotarła do Jarowa, skąd było już nie- daleko do Ustronia. Wybierając się na posadę, sły- szała, że autobusy kursują tutaj rzadko i nieregular- nie, więc z góry przygotowała się na dłuższy postój w tym zupełnie nieznanym miasteczku. Ale nie zasta- nawiała się nad tym, gdzie spędzi najbliższą noc, gdzie przeczeką do rana? Miała dwadzieścia lat, wiele na- gromadzonej energii, ochoty do pracy i szczerego zapału. Nic też dziwnego, że nie lękała się żadnych przeszkód, żadnych trosk i niewygód. Rwała się do roboty. Sama prosiła o wysłanie na głęboką prowinc- ją, do jakiejś zapadłej dziury, tam, gdzie chorzy, cierpiący ludzie rzućni są na pastwę znachorów, za- mawiaczy i brudnych babek.

— No i jestem tam, gdzie chciałam! — szepnęła z ulgą, spoglądając na barwne pola. Przystanąła na moment, by lepiej przypatrzeć się okolicy. Od wody pociągał ciepły wiatr, targając jej czarne, połysku- jące włosy i pstrokatą sukienkę. Zdjęła lekki płaszcz, bo było gorąco. Zupełnie jak w żniwa.

W powietrzu leżała senna, wiejska cisza. Na lewo, nad samym torem wznosiły się łagodne wzgórza, po- roście rzadką brzezina, naprzeciw rozciągały się równe, zielone łąki, przecięte kapryśną linią przeblyskującej rzeki. W głębi, na piasku białaly chałupy. Z kominów snuły się szare pasma dymu.

Ale najładniej wyglądały domy, stojące przy szosie. Były to przeważnie rudery, o sosnowych, walących się gankach i koszlawych filarach, oplecionych girlan- dami dzikiego wina. Czerwień wędnących liści mie-

szalała się z jasnym złotem, brąz z poszarzałą zielenią. Pod jedną ze ścian paliła się dojrzała jarzębina.

Julka posuwała się naprzód. Skręciła w lewo i oto nagle ujrzała przed sobą malutkie, czyste miasteczko, położone na wzgórzu nad krętą i dość szeroko rozlaną rzeką. W wodzie odbijały się jak w lustrze wieże wysokiego kościoła, spadziste dachy domów, chmury i liczne drzewa. Wkoło, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pola, sady oraz łąki, poplamione żółknącą wikliną. Droga pięła się pod górę. Po obu jej stronach rosły potężne kasztany, na chodnikach leżały zwiędłe, sze- leszczące liście. Zza płotów wychylały się gęste jabło- nie, uginające się pod ciężarem owoców.

Julka minęła most. Z dołu tchnęło wilgocią i roz- prażonym szuwarem. W pobliżu ciemniał las, wtopiony szmaragdowym pasem w mocny błękit nieba. Domy stały się schludne, a tu i ówdzie pojawiły się nowe jednopiętrowe kamienice. Dziewczyna przyśpieszyła kroku. Idąc główną ulicą, wkrótce znalazła się na rynku.

Na samym środku rozsiał się stary, zabytkowy ra- tusz, podobny do wielkiej kamiennej bryły. U góry piętrzyła się bogato wystrojona attyka, tworząc fan- tasyjczny grzebień. Między oknami kłębiły się zwie- rzęta i bajeczne kwiaty, jelenie i róże. Po bokach stali w niemej kontemplacji święci Pańscy: św. Krzy- sztof i św. Wojciech. Jeden z nich był patronem mia- sta. Niedługo bowiem Jarów nazywano grodem św. Krzysztofa. Święty brnął przez rzekę, trzymając na ramieniu nagie Dzieciątko. Podpierał się zakrzywio- nym kosturem.

Ludzi kręciło się tu niewiele. Tu, to tam przesunął się jakiś człowiek, czasem przejechał wóz, albo prze- mknęło auto i znowu było pusto. Z narożnej szkoły wysypały się z krzykiem dzieci, a obok w szeroko otwartych drzwiach knajpy kłócili się dwaj pijacy, wymyślając sobie wzajemnie.

Wtem zabrzączał dzwonek, ogłaszając przybycie wo- ziwody. Julka spostrzegła wóz z ogromną beką, a przed wejściem do jednego z domów stał rudy, mocno obszarpany przekupień, głośno zachwalając swój wyjątkowy „towar“:

Wo — da!..

Czysta, smaczna, źródłana,

I dla chłopca i dla pana!

Pijcie!

Ostry, podniesiony głos rozchodził się po kwadra- towym rynku, docierając do wnętrza skromnych mie- szkań, do małych drzemających domków i jednopiętro- wych kamienic. „Pij—cie!“, krzyczał wóziwoda, po- trząsając rezklekotanym dzwonkiem. W bramach roz- legł się jargot blaszanych wiader, buchnął śmiech dziewczuch i zaraz z brzucha tej beki lunął wesoły strumień.

Julka z rosnącym zainteresowaniem przypatrywała się życiu miasteczka, domom i ludziom. Szła krok za krokiem. Uliczki były wąskie, wyboiste, budynki stare, zaniedbane, ale mimo to pełne jakiegoś swoi- stego wdzięku. Tuż obok kościoła, o dwu strzelistych

wieżach i szarych, opastych murach, przypominających fortece, stała wiekowa, dobrze już zarysowana kamienica. Wiodły do niej dębowe drzwi z żelazną, ciężko zwisającą kołatką. Nad wejściem żerniało zakratowane okno, osłonięte rąbkiem niegdyś czerwonej dachówki. Dziewczyna przystanęła, by odczytać napis widniejący na porysowanej tarczy. „A.D. 1721“. Wyżej był herb: dwa skrzyżowane miecze i korona.

Ulica opadała teraz coraz niżej. Julka schodziła po powyrywanych bruku na przedmieście miasteczka. Było tu pusto i cicho, jak na pełnym odludziu. Przez sztachety wyglądała żółknąca zieleni sadów. Pachniało jabłkami i dymem. Dopiero na samym końcu tej na wpół dzikiej alei ukazał się nowy, ceglany dom, przed którym stała karetką Czerwonego Krzyża. Był to Ośrodek Zdrowia.

Julka weszła do środka. W korytarzu panował tłok. Pod ścianami czekali na swoją kolej liczni pacjenci, głośno rozprawiając o własnych dolegliwościach, poślakiwały chore dzieci. Co chwila ktoś pukał do drzwi, pytając o to i owo. W świetle zapalanej lampy czerniały napisy: „Poradnia ogólna“, „Poradnia dla matek“, „Poradnia dla dzieci zdrowych“, „Gabinet analiz“, „Rentgen“. W mrocznym kącie gnieździło się Pogotowie Ratunkowe. Przez szparę dolatywały strzępy prowadzonej rozmowy.

— Tutaj Pogotowie Ratunkowe? — buczał jakiś bas. — Tak. Co się stało? Samobójstwo? Ach, tak! Jak dawno? Przed godziną. Adres? Ulica Nadrzeczna 17. Imię i nazwisko? Już.

Za chwilę stojąca przed domem karetką zatoczyła łuk i zatrzymała się przed wejściem. W szeroko otwartych drzwiach Pogotowia pokazał się młody, szczupły lekarz.

Julka zakolała do kancelarii, by zapytać o doktora Gałuszkę.

— Proszę! — zza biurka podniósł się starszy, silnie zbudowany mężczyzna, o dużej, szpakowatej głowie, małych, krótkowzrocznych oczach i żółtej cerze. — Jestem Gałuszka — wyciągnął do przybyłej ciepłą, wypielęgnowaną rękę, a jednocześnie podsunął jej krzesło.

Podawała mu białą, zmiętą kopertę. Doktor szybko przeczytał doreczony list, uśmiechnął się i zaraz zaczął chwalić Julkę za to, że tak chętnie zgodziła się wyjechać na prowincję, tym bardziej, że jako wzorowa pielęgniarka miała prawo wyboru. Adiunkt Bros prosi, by jej pomógł, doradził. Naturalnie. Zrobi co tylko będzie w jego mocy.

— To dobrze, że jedzie pani do Ustronia — mówił głośno, z ożywieniem, starając się zaakrąglić każde słowo — bo służba zdrowia ma w tej chwili przed sobą nie byle jakie zadania. Musimy za wszelką cenę przeniknąć w teren, dotrzeć do każdego zakątka, tam gdzie dotąd jeszcze panoszy się zabobon i zawstydzająca ciemnota. A do tego potrzeba nam odpowiednio przygotowanych fachowców, lekarzy i pielęgniarek. I dlatego każdą nową koleżankę, każdego kolegę, witamy tak jak panią, z otwartymi rękami. Czy pani mnie rozumie, panno Julio?

— Rozumiem, panie doktorze — przytaknęła Julka zadowolona z tak miłego przyjęcia. Zarumieniła się.

— To doskonale! Ale teraz musimy zająć się panią. Czy może ma pani tutaj kogoś z bliskich, czy znajomych?

— Nie, nie mam, panie doktorze.

— Bo zbliża się noc, a najbliższy sarnochód odchodzi dopiero jutro o szóstej rano. Trzeba więc pomyśleć o jakimś dachu nad głową. Do tego jeszcze jest pani głodna, zdrożona.

— To drobiazgi!

Do pokoju weszła pielęgniarka. Była drobna, chuda i cała w bieli. Wyglądała poważnie. Spod śnieżnego czepeką wymykały się pasma ciemnych, lekko siwiejących włosów. Cicho zbliżyła się do swojego stołu i spocząwszy w głębokim fotelu, zabrała się do pisania.

— Siostrzo Tereso! — zwrócił się do niej doktor Gałuszka.

— Słucham.

— Może pani zechce nam pomóc. Panna Julia jutro rano ma udać się do Ustronia, gdzie obejmie pracę w ośrodku zdrowia. Chodzi więc o wyszukanie dla niej jakiegoś noclegu. Pani zna dobrze moje warunki!... — zakończył tonem usprawiedliwienia.

— Zabiorę panią z sobą — odparła Teresa. — Tylko skończę robotę — dodała.

2.

— Tak, masz słuszność — odezwała się Teresa — miałam naprawdę dosyć ciężkie życie. Ale czymże to wszystko wobec tego zadowolenia, jakie daje mi praca? Heż to razy, upadając ze zmęczenia, ratowałam innych od śmierci. Czyż to nie szczęście? Dlatego często patrzę z niepokojem na takie młode, jak ty, Julciu, dziewczęta, wstępujące bez głębokiego namysłu na tę piękną, lecz i zarazem trudną drogę, jaką jest służba zdrowia. Zdaje mi się, że większość z nich nie rozumie całego ogromu obowiązków, samozaparcia i poświęcenia, jakich wymaga nasz fach. Jedne idą do szkół pielęgniarstwa, bo nie widzą innego, lepszego wyjścia, drugie, że im będzie do twarzy w białym czepeczku i śnieżnym fartuchu, a niektóre znów liczą na dobre zamążpójście. Czy nie tak, moja droga?

— Tak, proszę pani.

— A ty, Julciu?

Julka nie odpowiedziała. Była zaskoczona pytaniem Teresy. Jej oczy stały się drobne, płochliwe, a wargi zdrząły, jakby chciały wymówić jakieś słowo.

— Chyba nie pociągnął cię biały strój?

— Nie.

— No to chęć zdobycia dobrej posady?

— Też nie.

— Więc co?

— Podoba mi się ten zawód. Tak samo, jak pani...

— Jak mnie, powiadasz?

— Jak pani.

— To znaczy, chcesz nieść pomoc cierpiącym, łagodzić ból i bronić ludzi przed śmiercią? Bo naszym celem jest człowiek. Tylko człowiek. Dla jego zdro-

wia, dobra i szczęścia powinnyśmy poświęcić nawet własne życie!

Julka wsłuchiwała się w słowa mówiącej. Czula, że pochodzą one aż gdzieś spod serca. Teraz już z dumą myślała o swoim zawodzie. Bo to nie tylko chleb, posada albo też chęć paradowania w białym, pielęgniarskim fartuchu, ale coś więcej. Podczas swojego pobytu w szkole słyszała wiele różnych wykładów. Prelegenci podkreślali z całym naciskiem cele i zadania służby zdrowia w Polsce Ludowej, ale najczęściej operowano tam frazesami i wytartymi sloganami. A^o przecież wszystko to mieściło się znakomicie w jednym prostym słowie: człowiek!

Teresa mówiła cicho, serdecznie, a oczy jej iskrzyły się jak węgle. Już nie żałowała, że wzięła Julkę z sobą. Dziewczyna ta sprawiała dobre wrażenie. Była trochę sztywna, niewyrobiona, ale w jej rysach zamykała się dobroć, pomieszana ze stanowczością. Toteż rozgadała się na dobre. Chciała cały swój zapał przelać w serce młodej koleżanki, natchnąć ją miłością pracy i miłością człowieka.

Po jakimś czasie znów powróciła do doktora Gałuszki, który z całą pogardą odnosił się do kolegów groszorbów. Wciąż ubolewał nad tym, że wśród młodego pokolenia wykształconego już w Polsce Ludowej znajduje się znaczny odsetek brzydkich materialistów, pływaków, traktujących medycynę przede wszystkim jako źródło zarobku, jako gwarancję dostatniego, beztrudnego życia. I walczył z tym na każdym kroku, robiąc sobie coraz więcej wrogów. Teresa była z całym sercem po stronie doktora. Przyznawała mu rację.

— A teraz ty, Julciu, powiedz mi o sobie — zwróciła się do zasłuchanej dziewczyny. — Wszystko, co tylko pamiętasz! Trochę o domu, rodzicach i o swoim dzieciństwie. Interesuje mnie, jak dostałaś się do szkoły? I w ogóle...

— Co tam ja!

— Julciu! — nalegała.

— Dobrze. Spróbuję. Tylko niech mi pani wybaczy, kiedy to, co powiem, będzie nudne i mało zajmujące.

Julka prędko opanowała nieśmiałość i zaczęła opowiadać prostą historię swojego dotychczasowego życia.

3.

Za szybą autobusu mignęła jeszcze blada twarz Teresy, potem przemknęły domy, szare mury kościoła, koszlawe płoty i poźółkłe drzewa. Samochód skręcił w kasztanową aleję. Teraz już biegł dobrą, równą drogą, wiodącą brzegiem łąk, przeciętych kreczą rzeki.

Julka siedziała w tłumie wiejskich kobiet. W warok motoru wplatał się brzęk podniesionych głosów. Baby gadały bowiem jedna przez drugą. Wszystkie pochodziły z okolic Jarowa. Miały podobny strój i podobną wymowę. Spod barwnych chust spoglądały spokojne, trochę pomęczone oczy, a wargi meły, jak różniane słowa nieustającej opowieści, gawędy o plotkach

w sąsiedztwie, o zbiorach, wykopkach i rosnącej drożdźnie.

— A panienka dokąd? — zapytała tęga, rumiana gosposia, zwracając się do Julki. Była porządnie odziana. Na głowie miała czerwoną, kwiecistą chustkę, w rękę wzięła z jadłem.

— Do Ustronia.

— Do doctora? Bo i ja do niego. To znachor, jakich mało. Gadają, że cuda czyni. Chłomym przywraca władzę, dźwiga ludzi ze śmiertelnego łoża, ratuje, jak nikt na świecie!

— Cóż to za lekarz?

— To panienka nie słyszała? A przecież przyjeżdżają do niego chorzy z całego niemal kraju! I wszystkim pomaga. Podobno, że to chłop, zwyczajny chłop, paniusiu. Ale ma dar od samego Pana Boga! Jak ino spojrzysz na człowieka, od razu wie wszystko. Bez żadnego badania. I nie drze, nie łupi z ludzi skóry, jak doctory!

— To niemożliwe! — odparła Julka, zaskoczona tym dziwnym spotkaniem. Jeśli tutaj, w samochodzie znalazła się w atmosferze prawie że średniowiecznej ciemnoty, to co to będzie na miejscu, w Ustroniu? Doktor Gałuszka musiał wiedzieć o wszystkim, kiedy zaraz na wstępie zrobił jej mały wykład o zamawiaczach i znachorach, żerujących na ludzkiej nędzy i ciemnocie. To samo Teresa. I ona coś ukrywała, by jej nie zrazić na wstępie. — Nie wierzyć w te bzdury! Znachor jeszcze nikomu nie pomógł, ale za to nie jednego zaprowadził do grobu

— Co też pani plecie! — oburzyła się gosposia.

— I jak się pani nie wstydzi? — wmieszała się inna z kobiet, chuda, jak wiór i poźółkła. A z jej oczu posypały się iskry nagłego oburzenia. — Żeby nie Białas, już dawno gryzłabym ziemię! Niech mu Pan Jezus wynagrodzi i Matka Najświętsza! — podniosła wzrok w górę, jakby samemu Bogu dziękowała za ocalenie.

— A ja, to co? — Już chyba ze dwa lata nie zwłoczyłam się z pościeli. Mój chłop woził mnie od doktora do doktora. A każdy ino popatrzył, pomacał. Zapisał jakieś świństwo i zara pchaj mu w łapę. Ostatnią koszulę ściągnęliby ze mnie, żeby nie Białas! Tamten dotknął mnie ino ręką i powiada: „Kobieto, będziesz zdrowa!“ Coś tam zamówił, poszeptał i żebyście wiedziały, choroba ustąpiła. A moją stryjną, to jakby wrócił już z tamtego świata. A jakże. Gniła baba na wyrku, a ksiądz ciągle ją spowiadał i komunikował, namaszczał olejami i wszyscy czekaliśmy na śmierć. Tymczasem ktoś tam doniósł nam o znachorze. I wiecie, kobieta wyzdrowiała. I ani ją nie rzuca, ani nie sisse w dolku. „To cud!“ gadali sąsiedzi. I to wszystko Białas!

Julka słuchała z coraz to większym oburzeniem, ale postanowiła nie wtrącać się do rozmowy. Dopiero w Ustroniu zorientuje się w sytuacji, a wtenczas stanie do walki, nie zleknie się pogróżek, kłąt w sfanatyzowanych bab, ani guseł ustronskiego czarodzieja.

Tymczasem kobiety rajcowały dalej. Opowiadały sobie wzajemnie o trapiących je dolegliwościach. Tęga gosposia skarżyła się na darcie w kościach, jej

sąsiadka, chuda i brzydka starucha narzekła na ogólną słabość, a wąta, anemiczna dziewczyna w brązowym swetrze żaliła się na lekarzy, że nie poznali się na chorobie. „Trują mnie, juchy“, mówiła ochryplym, matowym głosem. „I jeszcze im płac za to!“ Chciała coś dodać, ale porwał ją gwałtowny kaszel.

Julka ze współczuciem spojrziała na chorą, której wygląd mówił już sam za siebie. Na białych, wymi-zerowanych policzkach kwitły niezdrowe rumieńce. Oczy miała błyszczące i mocno podkrążone. Żarła ją na pewno gruźlica.

— I pani jedzie do żnachora? — zaczęła ją Julka.
— Jak można! Przecież tu chodzi o życie!

— To co mam robić?

— Najlepiej zgłosić się do Przychodni przeciwgruźliczej. Tam panią zbadają, prześwietlą i przepiszą odpowiednie leczenie. Szkoda każdej chwili zwłoki.

— Byłam.

— Dawno?

— W maju. Ale nic z tego nie wyszło. Doktor wysłał mnie do szpitala. Gadał, że to ponoś konieczne. Ale nie usłuchałam. Potem oglądał mnie jeszcze jeden. Wziął za poradę, pocieszył. I koniec. Dopiero od wu-

jenki dowiedziałam się o Białasie z Ustronia. Ten mnie na pewno postawi na nogi. Tyle tam jedzie narodu. Ino on mi pomoże.

— Masz rację — odezwała się chuda, żółta starucha.
— Białas to znachor jakich mało. A takich, o — wskazała na Julkę — nie słuchaj. Bo ino zbiją cię z tropu, a wtenczas zmarniejesz bez nijakiej pomocy.

— Pewno — przytaknęła któraś.

Julka milczała. Spozrzęła, że baby zaczęły coś szeptać między sobą, raz po raz zerkając w jej stronę. Jechały do znachora. Zupełnie tak, jak na jakąś pielgrzymkę. Gadały, szwargotały jedna przez drugą, opowiadając sobie wzajemnie o własnych dolegliwościach i sławie Białasa, leczącego nawet beznadziejnie chorych, tych, których opuścili już wszyscy lekarze.

Julka przyłgnęła twarzą do zapotniałej szyby. Wolała nie słuchać tych babskich bredni. Była jednak niespokojna. Jeszcze nie dojechała na miejsce, a już orientowała się w warunkach, jakie panowały w Ustroniu. „To džungla!“ szepnęła z irytacją. „Ale trzeba to zmienić!“ I gotowa była dla tego celu poświęcić własne życie.

Józef Nikodem Kłosowski



Tadeusz Fangrat

POCZTÓWKA Z WZASÓW W BALATON - LELLE

„Notatnik węgierski“

Gdybym malarski miał talent,
Posłałbym ci ten księżyc
Ściągany z nieba przez fale
Z pomocą tajemnych sprężyn.

Ale że przecież go nie mam,
Tedy do rzeczy krótko:
Siedzę z Tiborem i Ewą
„Pod różą“ — w karczmie-ogródku.

Nad nami platan topoli
Liściaste baje prawi.
Cygan w altanie rzepoli,
Parkiet w melodii się pławi.

Tibor to stary tokarz
Z zakładów „4 kwietnia”.
Na zabój w pieśniach się kocha,
A dziś mu sprzyja noc letnia.

Ewa — dojarka z Mohacza,
Prowadzi górne rozmowy,
To znaczy z pasją roztacza
Rolniczy program rządowy.

I choć kolację jeść pora,
Bo gulasz dawno już wystygł,
Słucham i pieśni Tibora,
I Ewy mlecznych statystyk.

A fale na księżyc łase
Chłonnie wzdymają swą zielen.
Oj wczasy, dziwne wczasy
W spokojnym Balaton-Lelle!



Tadeusz Fangrat

Roman Śliwonik

* * *

Na każdym dniu
pozostać musi
ślad rąk.

Czy będzie to nowa cegła
na murze
zapisana karta papieru
czy sprząnięta ulica.

Wtedy minione dni
nie będą wracać
wołając niezapełnioną przestrzenią —
z bezruchu rąk
wypływa bezsens
zmieniający dzień
w obojętny klosz światła —
powracający nocą.

Bo dłonie wypełnione
sensem stworzonego kształtu
dają oczom ludzkim
radość.

Roman Śliwonik



POCZĄTEK NAUKI

K. A. Jaworskiemu

Oto nauka się zaczyna,
a już myślałem: wszystko znam —
czy rozkazałem sercu: kłam!
a może to nie moja wina?

Za mało mnie bolały wiersze?
Za mało w wierszach było krwi?
Więc dziś dlatego ze mnie drwi
dwudziestokilkuletnie serce?

Ziemia — to tylko była ziemia...
człowiek — człowiekiem tylko został...
i każda droga była prosta,
więc cóż wy chcecie dziś ode mnie?

A później kłamstwo w słowa wpięto
i nisko się kłaniano przed nim.
Tak się skończyło huczne święto
i tak się zaczął dzień powszedni.

Aż znów zaczęła się nauka
i może ona mi podpowie,
czym kłamał w myśli, kłamał w słowie,
czym tylko prawdy w kłamstwie szukał.

POETOM MAJĄCYM WŁASNE OLTARZE

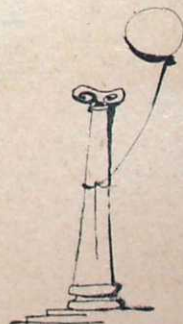
Okno otwarte... a to nie wszystko,
a przecież duszno —
myśli się tłoczą, słowa się cisną
i trudno usnąć.

Modlą się głośno do swych ołtarzy
modlitwą zimną
ci, co się własnych wyrzekli twarzy
i własnych imion.

A inni, którzy drwinę przeżuli
z codziennym smutkiem,
sprzedają właśnie na rogach ulic
wiersze gładziutkie.

Może bym wyszedł z ulic ciemnych,
krętych jak powróż,
czy jednak starczy serca i przekleństw
na długą podróż?

Na długą podróż do dziwnych krajów
gdzie noce jasne,
i nie ma wieszczów, którzy sprzedają
nawet lzy własne.



SZEREGOWIEC

Nie bawię się bryłą słońca,
nie szukam jasnego światła,
wystarczy mi mały kąć
i ciemne, malutkie okienko.

Nie przebieram w słowach jak w klejnotach,
nie handluję łzami jak srebrem...
chcę mówić szczerze i głośno,
że świat ma brudne oblicze.

Jedni zdążyli już zostać
generałami poezji,
inni zdobyli szlify
podpułkowników prozy...

Ja jestem wciąż szeregowcem,
nie czekam na żaden awans,
gdyż niezdiscyplinowanym
awansu się nie daje.

Ryszard Liskowacki

Zbigniew St. J. Lisowski JAK GDYBY NIGDY NIC...

Na białym tle drzwi —
klamka mosiężna, błyszcząca...
Odeszłaś.

Cóż —
ty pójdziesz w swoją,
a ja w swoją stronę —
jak gdyby nigdy nic.

I już jutro —
przejdziemy obok siebie
strategicznie gapiąc się na wystawę —
jak gdyby nigdy nic.

Na białym tle drzwi —
klamka mosiężna, błyszcząca...
Odeszłaś.

Stuknę się z moim
odbiciem w lustrze
kieliszkiem mocnego wina,
i wymuszonym skurczem warg

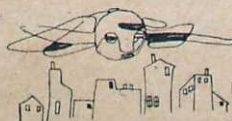
uśmiechniemy się do siebie —
jak gdyby nigdy nic.

Etykiętę przeczytam uważnie,
od deski do deski,
a potem
wrzucę pustą butelkę
do wiadra z węglem —
jak gdyby nigdy nic.

Nastawię radio
na Saloniki — na jazz,
niech gra —
jak gdyby nigdy nic.

A potem —
a potem pójde spać
i rozbeczę się. W poduszkę.
Żeby sąsiedzi nie słyszeli,
za ścianą.
I będzie cichutko w pokoju —
jak gdyby nigdy nic...

Zbigniew St. J. Lisowski



WALCZMY NAPRAWDĘ

PODYSKUSYJNE IMPRESJE

Muszę szczerze przyznać, że z pierwszej dyskusji lubelskiego Klubu Inteligencji wracałem nieco zadowolony...

Frekwencja, owszem, ponad osiemdziesiąt osób. Między innymi i tu tkwi prawdopodobnie źródło pewnej drętwy dyskusyjnej. Nie wszyscy się znali, nie wszyscy wiedzieli jaki będzie temat dyskusji, wiele osób przyszło chyba przypadkowo lub tylko z ciekawości.

Wniosek pierwszy — nie tędy droga do ożywienia pracy w nowopowstałym Klubie Inteligencji, nie przez zapraszanie i oficjalny werbunek członków.

Formą gwarantującą jak najlepsze perspektywy rozwojowe na przyszłość jest przykład Klubu Krzywe Koło w Warszawie, gdzie przyjacielska grupa kilku osób, zbierających się początkowo na dyskusje w mieszkaniu prywatnym, rozrastała się stopniowo do kilkudziesięcioosobowego środowiska.

Czyżbym więc zupełnie negatywnie ustosunkował się do sposobu utworzenia Klubu w Lublinie? Nie. Z ujemnymi stronami jego organizacji musimy się jednak pogodzić. Wynikają one ze specyficznych warunków. Tworzy dziś klub od grupy pięciu czy siedmiu osób — znaczący to cofnięcie się o dwa lata wstecz. Lublin musi tę początkową fazę przeskoczyć. Dlatego zdecydowano się na formę „rekrutacji”. Dlatego zastosowano „zaproszenia” przedstawicieli różnych środowisk: literackiego, dziennikarskiego, aktorskiego, pracowników nauki, lekarzy, studentów itd.

Brak tego usprawiedliwienia byłby krzywdzący dla grupy entuzjastów, dla grupy osób, które wiele pracy i dobrych chęci włożyły w powołanie do życia nowej placówki kulturalnej, która po krótkim okresie „niemowlęctwa” powinna stać się bardzo pożyteczną.

Przypuszczalnie działalność lubelskiego Klubu Inteligencji ożywi się znacznie po utworzeniu sekcji (projektowane są sekcje: plastyczna, zagadnień współczesnych, literacka, teatralna).

A teraz zatrzymajmy się nad tematem dyskusji i formą jej przeprowadzenia.

„Dlaczego Lublin jest zaściankiem?”

Każde środowisko, a szczególnie środowiska twórcze, które w pewnym stopniu nadają kierunek życiu kulturalnemu, a jeśli nie nadają — to w każdym razie są do tego predestynowane, miałyby tu wiele do powiedzenia. Właśnie o zaściankowości, o rozkwicie plotkarskiej atmosfery, o różnego rodzaju zadróżnieniach między pokoleniem starszym a młodszym, o wielu przerostach ambicjonalnej lub... finansowej natury.

Zastanawiam się jednak, czy wyciągnięcie tych wszystkich bolesnych w naszym życiu spraw, spraw

niewątpliwie hamujących jego możliwości rozwojowe, wpłynęłoby na częściową choćby likwidację zaściankowości Lublina? Czy organizatorzy dyskusji widzieli możliwości poprawy stosunków, jeśli te problemy personalnie (czyżby się znaleźli tak odważni??) lub ogólnie zostały naświetlone? Jeżeli nie, to pomysł dyskusji należy uznać za poroniony, a sama dyskusja stanie się niczym innym, jak wodą na młyn... lubelskiej plotki. I zaściankowy oportunizm znów będzie triumfował.

Chcę jeszcze zaznaczyć, że przy wszelkich dyskusjach konieczne jest krótkie, najkrótsze choćby zagrzenie. Brak punktów zaczepnych, rozpoczęcie od wypowiedzi uczestników — od razu zagraża dyskusyjnym chaosem.

Wydaje się, że błędów pierwszego zebrania lubelski Klub Inteligencji potrafi w przyszłości uniknąć.

Nie chcę zatrzymywać się dłużej nad licznymi wypowiedziami, wśród których niewątpliwie były bardzo słuszne. W toku dyskusji omówiono między innymi sprawę małej popularności miesięcznika społeczno-literackiego „Kamena”, niepotrzebnych zadróżnień między Katolickim Uniwersytetem Lubelskim a pozostałymi uczelniami, konieczność stworzenia studentckiego teatru satyrycznego, zastanowienie się nad jakimś, „drętwym” charakterem studenckich zabaw itd.

Z pewnych względów na szczególną uwagę zasługuje głos studentki Akademii Medycznej, kol. H. Leśnikowskiej. Należała ona do grona osób, które rozpoczęły propagowanie idei Klubu Młodej Inteligencji w Lublinie. Stanowisko jej wobec zadań Klubu można określić słowami: b r a ć. Słyszymy bardzo często, że młodzież dzisiejsza wiele chce brać, natomiast dawać z siebie mało. Sąd ten wypowiedziany jest w formie nagany. W wypadku przedstawicielki Akademii Medycznej sprawa ta jest bardziej skomplikowana...

Założenia lubelskiego Klubu sprecyzowane na kilku posiedzeniach komitetu organizacyjnego szły w kierunku skupienia w Klubie Inteligencji takich ludzi, którzy by mogli coś dać, którzy mogliby wpłynąć na konkretną poprawę tego czy innego odcinka życia miasta, którzy zakładaliby podobne kluby w miastach powiatowych naszego województwa, by choć częściowo w nudny i leniwy nurt życia wnieść ożywczy ton.

Jednakże, sądzę, byłoby niesłuszne, gdyby kierownictwo lubelskiego Klubu pominęło głos owej reprezentantki Akademii Medycznej. Sprawa ta zresztą przedstawia rozległą problematykę, którą można by określić „specjalistycznym zawężeniem horyzontów”.

Z ZAŚCIANKOWOŚCIĄ!

Wydaje się, że zmieści się w programie klubu, że powinna się zmieścić — i z pożytkiem dla wszystkich — sprawa wielokierunkowego poszerzenia wiadomości jego członków. Nie jest dobrze, kiedy literat nie orientuje się w anatomii człowieka czy higienie pracy, gdy lekarz nie wie, że Hemingway to nie laryngolog, gdy pracownik wydziału kultury nie zna choćby w zarysach ważniejszych zagadnień architektury. To jest szerokie pole do działalności, to jest paląca sprawa

podniesienia poziomu kulturalnego w naszym społeczeństwie.

Jakie stanowisko wobec tych problemów zajmie nowopowstały Klub?

Pragniemy, by z lubelskiego Klubu Inteligencji było zadowolone nie tylko grono jego członków — ale cały nasz kochany, zaściankowy Lublin.

wk

Winicjusz Stowar

„REPORTAŻ“ LIRYCZNY

Widzę zdziwione miny czytelników. Jak to? Reportaż liryczny? Dziennikarski — owszem, literacki — tak, ale liryczny? Baniałuki. — Do napisania tego reportażu nakłoniła mnie lektura. A ściślej mówiąc Kisch i Makuszyński. Po raz piąty czytam „Jarmark sensacji“ i „Szatana z 7-ej klasy“. Po raz piąty czytam „Jarmark sensacji“ i „Szatana z 7-ej klasy“. Jedna książka uczy dobrego dziennikarstwa. Druga pachnie młodością.

Dobre dziennikarstwo zaczyna się tam, gdzie widać twórcę. W reportażu nie zawsze trzeba stawiać kropkę nad „i“. Reportaż musi krzyżeć. Takimi są reportaże z „Po prostu“. Dziennikarstwo wyprzedziło literaturę. Szczególnie zaś poezję. Za czasów Majakowskiego poezja szła w pierwszych szeregach. Dziś poeci milczą.

„Pytasz dlaczego nie piszę wierszy w godzinie krzyżących sumień.
Krzywdy od wrogów zrymuję pierwszy.
A kiedy gorzko — nie umiem.“

Poci z natury rzeczy są bardzo wrażliwi. Oni może najbardziej odczuwają gorzkość „tamtych czasów“. Nie sprowadzają zdarzeń do wspólnego mianownika — kultu jednostki. Naigrzywanie się z ubiegłych lat stało się czymś jak najbardziej modnym. Dowcipy w rodzaju: „Wiesz, nad czym teraz Bobińska pracuje? — Pisze dwie książki: „Komu Soso zrobił kuku“ i „Soso, fe“ — mnożą się nieustannie.

— Śmiejemy się choćby przez łyż. Albo milczmy, tak jak poeta. Chwalmy „czystopłucjów“ albo mówmy, że krytyka zbyt ostra rodzi histerię.

Mnie osobiście żadne z tych stanowisk nie odpowiada. I dlatego cieszę się z powstania młodzieżowej, awangardowej grupy poetyckiej „Rampa“. Wiersze walczące. O co? O „ręce sprzątaczkki obsta-

lowane za 300 zł“. O to, byśmy nie grali „Nokturnów ulicy“.

Chcemy wiedzieć wszystko. Dyskutujmy. Skaczmymy sobie do oczu... Miałem możność uczestniczenia w pierwszej dyskusji nowopowstałego Klubu Inteligencji. Temat wspaniały: „Dlaczego Lublin jest grajdółkiem?“ Tymczasem mówiono dużo o zadaniach Klubów Inteligencji, o sprawie „KUL-u“. Meritum zatonoło w powodzi słów.

Słuchając niektórych dyskutantów zadawałem sobie pytanie: „Po co oni mówią?“ W głowie tłukł się wiersz Tuwima „Kto się odważy, kto się odważy...“ Kto powie o lubelskim grajdółku?

Dopiero w dwa dni później mój przyjaciel mówiąc o grajdółku powiedział: „Sens tkwi w tym, że u nas w Lublinie XX Zjazd zacznie się za dobrych kilka lat.“ Z jego oczu wyczytałem pragnienie, że chciałby jak najprędzej... W pierwszej chwili na usta cisnął mi się slogan: „Chwała niecierpliwym“.

Sekretarza POP pewnego przedsiębiorstwa lubelskiego ob. Personalika spotkałem w kawiarni. Miałem ochotę porozmawiać z nim. Byłem ciekaw, czy zdążył już się „przestawić na nowe tory“. Jeszcze w lutym podczas szkolenia partyjnego, które prowadził, zabijano zdrowy rozsądek. Sekretarz plótł jak Piekarski na mękach. Klasycy marksizmu przewracali się w grobach. Nawet najbardziej perfidny burżuj nie mógłby się zdobyć na takie ośmieszanie marksizmu. Ten Arcykołtun w czerwonym krawacie dyktował członkom organizacji partyjnej na terenie dużego zakładu pracy takie teorie jak „Podstawowe prawo ekonomiczne kapitalizmu nie może istnieć bez podstawowego prawa ekonomicznego socjalizmu“. Wyjękiwał wyświechtane super-slogany. Kursanci bezmyślnie zapisywali każde słowo. A mnie świerzbila ręka.

Podobno uważano go za pierwszorzędny wykładowca. Jeśli tak, to nie mogą wyobrazić sobie tych gorszych. Dziś może zdążył się zmienić. Zawsze trochę sprytu posiadał.

Z rozmyślań na jego temat wyrwał mnie on sam. Przysiadł się do mego stolika. Pytał się, co obecnie piszę. Odpowiedziałem, że reportaże o AK. — To po linii tego nie... kultu jednostki? — Porozumiewawczo mrugnął. Miało to znaczyć: „Znamy się na takich. Pisze się o rzeczach modnych“. — Może by pan od nas... z fabryki coś napisał. Wie pan, tak lobbiktywnie, jak to teraz po XX Zjeździe trzeba... Nie się nie zmienić.

Leży przede mną kilkadziesiąt kopert wierszy nadesłanych na konkurs rekrutacyjny Koła Młodych. Szewska pasja mnie ogarnia, gdy czytam owe „poezje“. Nie chodzi już o błędy ortograficzne, gramatyczne, o częstochowskie rymy. Chodzi o twórców. Nie widać ich w wierszach. Powtarzają slogany. Za tysiącami słów kryje się pustka. U większości znajomość poezji kończy się na Mickiewiczu. U niektórych na naszym schematyzmie. Wiersze te oskarżają poezję tzw. socrealizmu. Gdyby na ich podstawie ktoś chciał sądzić o poziomie intelektualnym w Polsce, doszedłby do najbardziej pesymistycznych wniosków.

Autorzy to przeważnie młodzi. Chyba tylko wiekiem. Nie ma w nich nic z kipiącej młodości bohaterów książek Makuszyńskiego. Nawet miłość ubierają w łachmany sloganów. Oto typowe zakończenie erotyki:

„Więc pokaż oczy, śmieję się radośnie do żółtych, czarnych, białych ludzi, a uśmiech twój niech szczęścia wiosnę przynajmniej w sercach ich obudzi“.

Albo druga krańcowość. Erotyki, wobec których słowa mieszczańskich szlagierów są arcydziełami:

„Odpowiadał swojej Hani, że ją kocha, tak!
Wierzaj, ach mych myśli pani, wtędy słów mi było brak“.

Bynajmniej, nie dobieram przykładów tendencyjnie. Cytowane fragmenty należą do najlepszych. Są też i wiersze poprawne. Ale żaden nie krzyczy...

Pod powiekami czai się znużenie. Myślę o wierszach. Organizatorzy konkursu powinni urządzić wieczór utworów grafomańskich. Materiałów na pewno by nie zabrakło.

Dobrze — ktoś powie — ale grafomania zawsze istniała... Grafomania połączona z brakiem myślenia — to już chyba „zasługa“ faulowskich czasów.

Bierność. Tępota umysłowa — oto główni sprawcy błędów. Zaraz po wyzwoleniu potrzebnymi byli ludzie wierzący w nasze idee. Zapomnieliśmy o tym, że „zakochanego“ można udawać, mądrego nie potrafi udawać nawet najsprytniejszy głupiec. Dziś potrzeba nam takich ludzi, którzy byłiby i mądrzy i „zakochani“.

Winicjusz Stowar

NIEKTÓRE PROBLEMY HOTELI ROBOTNICZYCH

Te dwie postaci chciałyby się umieścić w ramach. Wyobrażam sobie, że tak powinien wyglądać symbol naszej nowej rzeczywistości: zło, które odchodzi, i dobro — przyszłość.

Zdarzenie było niezwykle, a przecież nie wyreżyserowane... W Hotelu Robotniczym przy ul. Langiewicza 17 są jeszcze analfabeci. Jest również pięcioletni chłopczyk, który już wiele czyta: przeważnie bajki, a jeśli nie ma bajek, to składa sylaby artykułów z gazet w świetlicy.

Ten małe i analfabeta — ich chciałbym włożyć w ramki.

Problem kształcenia i doksztalcenia młodzieży robotniczej jest niezwykle ważny. I tutaj zaznacza się dziwna rozbieżność między teorią a praktyką: marcową konferencją Zarządu Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Budowlanych omawiała sprawę konieczności doksztalcenia robotników w zakresie szkoły podstawowej, a tymczasem w lubelskim Hotelu Robotniczym przy ul. Langiewicza 17 coraz częściej mówi się o zniesieniu dwu istniejących klas. Wprawdzie

wysuwa się poważny argument przeciw utrzymywaniu dwu obecnych oddziałów: do klasy V uczęszcza około 8 osób, do VII pięć. Tak — ale co zrobiło kierownictwo Hotelu, organizacja ZMP, by zachęcić robotników do nauki? Chyba to, że „uczniowie“ sami muszą palić w piecach, a nawet starać się o opał. A przecież (podaję cyfry według informacji nauczyciela) około 80% mieszkańców Hotelu, to ludzie bez ukończonej szkoły podstawowej.

Nie wiem, czy w wypowiedziach osób, z którymi rozmawiałem, nie brzmiała jakaś osobista, pesymistyczna nuta. Użalań i skarg było wiele.

W kilkunastu barakach mieszka około 300 osób. Do niedawna robotnicy mieli własną stołówkę i bar mleczny. Wyżywienie więc nie stanowiło dla nich problemu. Rano, przed pracą, wstępowali do baru mlecznego, po pracy zasiadali do obiadu. Stołówkę przejęły Domy Akademickie. Oczywiście akademikom stołówka jest potrzebna, ale czy stąd wniosek, że dla robotników jest zbędna?

W Hotelu krąży plotka — a może nie plotka? — że likwidacji ma również ulec sklepik.

— Ułatwia się nam życie — stwierdza jeden z ironią.
Hotel Robotniczy przy ul. Langiewicza ma swoje blaski. Coraz lepiej rozwija się praca kulturalna skupiająca się w świetlicy i bibliotece. Ostatnio powstał zespół taneczny, kierowany przez fachowego instruktora. Przydałaby się jeszcze osobna świetlica dla dzie-

ci, które na razie „pętają się” wśród starszych, pełne zapалу do zaprojektowanego dziecięcego teatrzyku.

Pomyślmy o tych dzieciach, pomyślmy o tych, którzy budują i rozbudowują nasze miasto.

wk

Stefan Wojski

BALLADA O CHŁOPCU Z KAWIARNI „POD CZARCIA ŁAPĄ“

Przychodzą tam dorożkarze,
studenci i robotnicy,
a czasem, jak się zdarzy,
Wiatr-Wietrzyca z ulicy.

Przy malutkim stoliku,
na krzeselku jak z baśni
pół czarnej łyk po łyku
Wiatr popija dziś właśnie.

Biegał od rana po mieście,
o Trybunał potrącał,
to chłodził, to znów pieścił;
wpadł na kawę gorącą.

Wszedł również chłopiec. Naprzeciw
przy stoliku siadł smutny,
liryczny tak jak poeci
i jak poeci... nudny.

Wietrzyca oczy ma duże,
czarne jak noc pod chmurą,
a usta — choć w barwie róży —
miały też nocy urok.

Chłopiec zapatrzył się w oczy,
w brwi gniewne, w rzęsy zasłone,
i jakby go kto zauroczył,
zapragnął jej na żonę.

Odtąd przychodził codziennie,
tak właśnie jak poeci;

czekał w wieczory jesienne,
aż Wietrzyca przyleci.

A Wiatr, jak to wiatr, czasami
przyfrunął, dmuchnął w kawę,
lub dotknął chłopca palcami
(a palce, jak noc miał nawet).

I chłopiec tonął. Wciąż głębiej
wciągał wielki nurt serca,
ten sam, co pary gołębie
tak lirycznie uśmierca.

Aż zima przyszła. Na „małą”
Wietrzyca przybiegła z Mrozem.
I tak się tam jakoś stało,
że chłopca przebili nożem.

Rzecz prosta — nie było noża,
nie było rany i śmierci,
lecz Wiatr nie wiatr... zgasił pożar,
a Mróz pokrajał na ćwierci.

I ona, gdy wpadnie teraz
„na małą”, jak nocy temat,
widzi — wciąż chłopiec umiera,
choć chłopca tam już nie ma.

Balladą tą niech zasłynie
kawiarnia na Starym Mieście
„Pod łapą czarcią” w Lublinie...
Koniec lirycznej powieści...

Stefan Wojski



TEATR PRZYJECHAŁ*)

A jednak ludzie jakoś zaczynają się schodzić. Nie śpieszą się, bo życie w tym Konstantynowie toczy się tak właśnie bez pośpiechu. Czas tutaj mierzy się wschodem i zachodem słońca.

Teatr zapowiedziany dopiero na wieczór, a tu całkiem jeszcze widno na dworze, więc się zdąży... Można przez ten czas postać trochę na ulicy przed gospodą, bo to najważniejszy punkt w Konstantynowie i prawie każdy tu zagląda. Można pogadać o tym i owym z kotmendantem posterunku i kierownikiem poczty albo z przewodniczącym gromadzkiej rady. Kobiety tu mało przystają, chyba że chce która swojego chłopca z gospody wyciągnąć. Dzieciska tylko pałętają się częściej, ale kto by tam zwracał na to uwagę...

— Może by pójść już na ten teatr?

— Eee... jeszcze się zdąży...

— Chodźta, chłopcy, bo już i cygany poszły z gospody, to pewnie się zara zaczną.

Przy wąskiej uliczce, wytyczonej szarymi sztachetami i brunatną pajęczyną wiotkich gałązek wiśni, stoi okazały biały budynek, a przed nim dwa duże samochody. To tu odpędzie się przedstawienie. Na afiszu: „Szczęście Frania“. Ładny tytuł, taki swojski i zrozumiały.

No, to już trzeba wykupić te bilety. Są i po dziewięć złotych i nawet po trzy.

Ludzie już siedzą według tego, kiedy kto przyszedł. Kobiety poroziadały się z tymi najmłodszymi dziećkami przy samej scenie, bo żeby lepiej wszystko widzieć, przyszły wcześniej. Jak teatr przyjechał, to i usiedzieć w domu nie mogły. Rozglądają się teraz po sali, kto jest i kto dopiero wchodzi. Starsze dzieciaki powłaziły na okna i siedzą machając nogami.

Nie jest tu tak widno, żeby wszystkich dobrze widzieć, ale zawsze jaśniej niż w chałupie przy lampie naftowej. W Konstantynowie nie ma jeszcze sieci elektrycznej, a tylko do tych ważniejszych budynków dołączony jest prąd z generatora.

W tym smutnym świetle ciemno-zielona kurtyna odgradza to, co dzieje się teraz na sali, od tego, co dopiero będzie. Oczy patrzą w nią wyczekująco. Czasami poprzez szparę błysnie ciepło czyjaś ręka lub skrawek twarzy, czasem rąbek kolorowej sukni.

Więc jednak i tam, poza zasłoną, coś się dzieje...

Na sali cierpliwe oczekiwanie, a na scenie gorączkowy ruch. Wzorzysty dywan tłumi szybkie kroki. Aktorzy się śpieszą i obsługa techniczna także.

Aktorki przycupnęły przy owalnym stoliku, jak która mogła. Przed każdą stoi drewniane pudełko z lusterkiem. Starannie kładą grubą warstwę szminki na twarz. Charakteryzują się same. Kto już zdążył się z tym uporać, pomaga innym.

Ścianka dekoracji zadrżała niepokojąco. To ktoś poszedł się przebierać, a ponieważ w wąziutkim prze-

ściu nie łatwo tego dokonać, przy wkładaniu kostiumu obją się lokciami. Nawet uwaga nic tu nie pomoże.

Trzeba umyć ręce. Kolega, choć sam śpieszy się bardzo, polewa wodą z bańki.

— Dajcie mi mąkę! — woła ściszym głosem ktoś od stolika.

Ktoś inny kręci się, trzymając w ręku flakon ze sztucznymi kwiatami. Nie wiadomo, gdzie go postawić, tak ciasno. Za kulisy nie można, bo to rekwizyt do pierwszego aktu.

— A niech to diabli! — potknął się nagle o podwyższenie, lecz natychmiast powstał. Popatrzył na nie i pokręcił bezradnie głową:

— Te scenki terenowe to przecież rozpacz dla nas...

— Prędko, prędko, bo zaczynamy...

Wolniućko przygasło światło. Jest zupełnie czarno na scenie i na widowni. Co teraz będzie? Dzwonki już były. Na sali pęcznieje hałas, mimo że ludzie tutaj przyzwyczaili się do tego słabego światła i nagłych zgaśnień. Na szczęście zajaśniało znowu, ale chociaż uderzył już gong, krzyki na sali nie ustały. Jeszcze przed samą scenę dostawiają krzesło, przenosząc je ponad głowami siedzących.

— Cicho tam... — woła ktoś z prawej strony.

— No, cicho! ludzie! — pisnęła mała kobiecinka siedząca obok grupy cyganek, ale jakoś bokiem, prawie plecami do nich.

Gwar przycichł. Tylko przy samych drzwiach zamieszanie. Wbiega najpierw pies, a za nim dwoje dzieci. Przepychają się do środka.

Nareszcie coś niecoś słychać ze sceny, choć aktorzy robią wszystko, aby mówić wyraźnie i głośno. Krzyć przecież nie mogą, bo cóżby to było za granie?

Znowu przy drzwiach jakieś glosy, chwila ciszy, a potem rozbelkotany, męski głos. Pijany. W ręku trzyma związane drutem podkowy, które za każdym krokiem błobną zmuszając do odwrócenia twarzy od sceny. Podobnie jak przed chwilą dzieci przepycha się do środka.

Mimo wszystko akcja na scenie rozwija się według planu reżyserskiego. I akt pierwszy skończony.

Chłopi cmią papierosy, bo już nie mogą wytrzymać, a kobiety z tego samego powodu trajkocą z sąsiadkami. Ale robią to jakoś oględnie, z umiarem. Przecież to teatr, więc trzeba z godnością.

To „Szczęście Frania“ na scenie już nie było takie swojskie jak na afiszu. Wszystko jakieś pańskie i miejskie... Ale jak się już weszło i zapłaciło, to trzeba zobaczyć do końca. Nawet im się to podoba, bo teraz widzą jak było u panów.

— A tego Frania to my znamy... — mówi czarny chłopak stojący obok.

*) Reportaż o przedstawieniu zespołu PPIE w powiecie białskim.

— On tu już był z teatrem — dodaje ładna, młoda kobieta siedząca w ostatnim rzędzie.

Zielona kurtyna znika. Znowu na scenie chodzą i rozmawiają, a na widowni zamiera ruch. Ale jak poprzednio, w połowie aktu, wchodzi ów pijany. Nie rozstaje się ze swymi podkowami. Srebrzyście brzęczą, że są, że aktorzy grają sobie, a one sobie. Upił się za własne pieniądze i co mu kto może powiedzieć?

Przycmiony odbłask ze sceny przesuwa się po twarzach na widowni i zatrzymuje przy drzwiach. Ledwie, ledwie zaznacza się stalowy kolor munduru milicjanta. Jeszcze dwa, trzy kroki, a nie będzie go widać zupełnie.

Coś tam nie spodobało się pijanemu. Wrzasnął nagle, aż wszyscy znowu obrócili ku niemu głowy. Przez salę przeciągnęła fala syków, a ze sceny pomknęły zaniepokojone spojrzenia aktorów. Może mu żona coś powiedziała, a może pies otarł się o nogę. Na pewno jednak nie była to reakcja na to, co dzieje się na scenie, bo i tak nie wiedział, o co tam chodzi.

Skończył się akt drugi.

Cicho było, kiedy po raz trzeci rozsunała się kurtyna.

Rossowiecki naprawdę nie był już aktorem „Estrady“, lecz biednym, nieszczęśliwym Franiem, Bourdo i Jadwiga Jędrzejczyk — to znękani Lipowscy, wytrąceni całkowicie ze swej pozycji ludzi o solidnej reputacji w swym ciasnym światku.

— Co to, spirytus? — woła rozradowany męski głos od okna; gdy Lipowska podaje mężowi filiżankę kawy.

Pryska nagle napięta cisza. Dramat na scenie staje się na widowni jakąś zabawną komedią. Ale scena zwycięża. Chichot po chwili przygasa.

— Wszystko mi jedno, możecie mnie wydać nawet za Frania — woła zrezygnowana Zawadzka.

— He, he, he, to dopiero!... — Ludzie buchnęli krótkim śmiechem.

Choć w sztuce, szczególnie w trzecim akcie, trudno doszukać się choćby odrobiny komizmu, to nic nie szkodzi, bo ludzie konstantynowscy mają poczucie humoru...

Znowu cisza. Patrzą i czekają na jakieś słowo ze sceny, by uderzyć śmiechem. Hukiem wdziera się w tę ciszę brzęk upadającej na podłogę podkowy. Jednej, po chwili drugiej...

Zrozpaczony Franio wali z pasją zwiniętą pięścią w stół przed samym Lipowskim i tragicznym głosem wyrzuca z siebie nagromadzoną prawdę. Oskarża go...

— A na!...

— A w mordę go!

Rozhukaną falą przelewa się po widowni śmiech. Przewala się i kotłuje pod wysokim sufitem. Chłopy wymachują rękami, a galeria chłopaków na oknie tłucze piętami o ścianę...

Szybko i cicho wyszli ludzie ze świetlicy po skończonym przedstawieniu. Powsiákali w ciemne uliczki Konstantynowa, w którym nie ma światła, a czas mierzy się wschodem i zachodem słońca...

Twarze aktorów są zmęczone. Teraz, to są już członkowie ekipy teatru objazdowego „Estrada“. Zwykli ludzie pragnący odpoczynku po ciężkiej pracy w trudnych warunkach.

Jutro gdzieś dalej, na innej scenie będą grali sercem.

Byleby tam, gdzie wystąpią, nie było podobnych widzów jak w Konstantynowie.

Zoia Wyrwa



PODRĘCZNIK DLA POETÓW

(Fragmenty)

...Chciałem już niegdyś wydać gruby słownik
 Rymów najrzadszych, które wyszał w mleku-m.
 Każdy, kto z wiersza w nieuchwytnie to wnikł,
 Wie ile znaczy rym, wróg twardy nie kum.
 Oto jest oktaw mych wspólny mianownik:
 Młodym poetom cenne vademecum.
 Zamiast po każdy rym do głowy w skwar biec
 Przychodź i czerp, tu masz ich pełny skarbiec.
 Mówiono o mnie, gdym się pierwszych stanc jął
 W poezję polską siejąc garście nasion,
 Żem ją zesześcił śmiałą asonancją
 I że nasz trawnik rymów dziś wypasion.
 Jak kwiat najdroższy wychowałem z flanc ją,
 Jeśli się przyjął — niechaj kwitnie. Zaś on
 W nagrodę omszy wam zmurszałych wiar mur,
 Dziś dla odmiany kuję w rym jak w marmur.
 Niejednych poniósł już rym Bóg wie dokąd,
 Chociaż wytkniętych się trzymali płotów,
 Co do mnie splatam je sobie w wielokąt
 I nie wiem z góry, co przyniesie splot ów.
 Nie jadę szukać Madon ni Giocond,
 Ale na wszystko jestem z góry gotów.
 Jeśli poezja jest wyniosłą Inez,
 Trzeba te wiersze wynieść na margines.
 Lecz, że się myślom nie wywiniesz zaraz,
 Choćbyś rozważał na tysiące doz je,
 Rym w tym wypadku jest jak złoty arras,
 Na którym wytkał swoje animozje.
 Nie będę na nie wzywał wszystkich zaraz,
 Ani im życzył: niechaj diabłów sto zje!
 Kogo obrażę — krzycz lub skrywszy twarz — kwil,
 Będzie to trochę hymn, a trochę paszkwil.
 Ma rada: sięgaj tylko tam, gdzie sięgasz.
 Choćby smakował ci mój wiersz jak przysmak,
 Poczekaj najprzód co ci powie księgarz,
 Lub co napisze pierwszy lepszy pismak,
 Który na twarzy dostał sinych pręg aż,
 Wietrząc w mych wierszach przysłowiowy krwi smak.
 Jak zwykle mało samej gry mu.
 Tych uspakajam: piszę rym dla rymu...
 Nie sztuka w bitwie z jawnym wrogiem polec
 I nieśmiertelnym duchem przejść do legend,
 Sztuka piastować jak natrętny kolec
 Durnia, co wmawia ci, żeś król lub regent
 I wietrzy, jakiś miał dziś rano stolec
 I jaki krawat ma jaki prelegent.
 Gdyby dziś z grobu powstał stary Adaś:
 „Poezjo moja“ — rzekłby — „czemu bladaś?“ *)

Bruno Jasiński

1924 r.

*) Podali do druku: Leon Pasternak i Jan Śpiewak.



Szerokim pędzlem malarz zachód
Pociągnął na ulicy ściany
Był pracowity nie zanadto
Zadnego zysku w tym nie mając
Ta smuga jakże jest niemocna
Wyblakła speizła licha farba
Malarza zaś do uciesh nocnych
Uprowadziła ścieżka marna.

Przełożyła *Maria Bechczyc-Rudnicka*



MAJAKOWSKI W SWEJ AUTOBIOGRAFII „JA SAM“ kilkakrotnie wspomina z sympatią o Dawidzie Burluku: „Kochany przyjaciel! Mój prawdziwy nauczyciel! Burluk zrobił mnie poetą... Wypłacał mi codziennie 50 kop., żebym pisał nie głodując“. To on wraz z Majakowskim, Chlebnikowem i Kruczonychem wydał wspólny manifest futurystyczny „Policzek społecznym upodobaniom“. Tyle wiedzieliśmy o Burluku, który zginął nam z oczu. A teraz po czterdziestu latach Dawid Burluk przyjechał ze Stanów Zjednoczonych w odwiedzinę do Związku Radzieckiego. Ma obecnie 74 lata, zajmuje się więcej malarstwem niż poezją, wydaje pismo „Colour and Rhyme“. Burluk zetknął się z Asiejewem, był w teatrach na „Pluskwie“ i „Łażni“, zamierza malować na Krymie i Kaukazie.

-kaj-

Zamieszczony tu wiersz wchodził w skład zbiorku poetyckiego Majakowskiego, Chlebnikowa i Burluka „Triebnik troich“, wydanego w 1913 r. w Moskwie. Jeden z nielicznych egzemplarzy tej ciekawej publikacji znajduje się w Lublinie, w księgozbiorku Marii Bechczyc-Rudnickiej. Rysunki: u góry — podobizna Dawida Burluka wykonana przez jego brata Włodzimierza, u dołu, z prawej strony — ilustracja Tatłina, z lewej — rysunek samego poety.

Szczególna książka*)

Pasjonującą fabułę, kapitalne obrazowanie, poetyckie skojarzenia, śliczność polskiego krajobrazu, bogaty, barwny, umiejętnie archaizowany język, oryginalny a zwięzły styl — to wszystko znajduje czytelnik (dość niespodziewanie) w mało reklamowanej książce Eugeniusza Gołębiowskiego o skromnym tytule



„Dożycie pana Woyszy“*). Dwa dokumenty, posiadające cechy autentyków, służą autorowi jakby za dwie stare klamry, zamykające siedemnastowieczną treść. Pierwszy dokument — to akt nadania Zygmunta III, który obdarza bohatera powieści dożyciem na folwarku Borek i na pobliskiej hucie żelaznej. Drugim dokumentem jest krakowski grodzki akt sądowy, stwierdzający znalezienie obłupionego ze skóry szlachcica w olkuskim lesie.

Niedługo lecz krwiste dzieje dożycia pana Woyszy opowiedziane są w dwu nurtach. Rozdziały stanowiące relację autora zostały przeplecione kartami z kroniczki jakoby spiswanej przez samego pana Woyszę. Pozwoliło to autorowi na pożądane różni-

cowanie stylu i na tym bardziej wartkie toczenie narzód akcji.

Bohaterami powieści są pan Woysza i spółnota „ferrarzy“, jak nazywano wówczas podolkuskich hutników. Pozornie drugoplanowa jest myśl rewolucyjna, myśl humanistyczna, upostaciowana jednak mniej realnie, trochę aluzyjnie, trochę mistycznie. Na pierwszy plan wybija się oczywiście sam pan Woysza, zabijaka i pyskacz, chciwiec i okrutnik, brzuchacz i bibosz, rezolut do szabli, kańczuga i wszelakiego dyskursu. On to właśnie jakby skupia to wszystko, co przemilczał Sienkiewicz malując swoich, nieco późniejszych przedstawicieli stanu szlacheckiego. Oprócz pana Paska chyba nie mieliśmy w naszej historycznej literaturze równie plastycznego wizerunku z tamtych czasów; nie słyszeliśmy także równie trafnego języka, i to zarówno w opisach, jak i dialogach czy w samym tekście kroniki pana Woyszy. Gołębiowski posłużył się tym językiem z wielkim artystycznym umiarem, dał wersję dosadną, lekko makaronizowaną, a jednocześnie całkowicie dziś zrozumiałą. W sposób podobnie zwycięski wychodzi autor z trudniejszego zadania, kiedy przemawiają do nas głosy nieszczęśliwych lecz twardych „ferrarzy“, tej wolnej braci górniczo-hutniczej, która wyrabiała żelazo w swoich prymitywnych piecach nad Przemszą.

„Dożycie pana Woyszy“ jest książką szczególną. Po przeczytaniu jej natychmiast przychodzi ochota smakować ją na nowo. Otwarta na którejkolwiek stronie, cieszy anegdotą, obyczajowym szczegółem, świeżością krajobrazu, plastyką charakterów. Bawi nas przygodą i facecją, zaciekawia fakturą, a już po prostu uderza sugestywną wymową społeczną i polityczną. Niezależnie bowiem od trudnych do zapomnienia scen folwarcznych, hutniczych i pojedynkowych, spoza brzuchatego bohatera i ciemżonych przez niego „ferrarzy“ lub chłopów, w całej swojej grozie wyłania się przed nami odwieczny konflikt pomiędzy grabieżcą a jego ofiarami, pomiędzy bezlitosnym siebiepanem, pieniaczem i katem, a twardym i w obronie swojego bytu poczciwym ludem roboczym. W konflikcie tym wyżsi dostojnicy kościelni i wyżsi urzędnicy królewscy niezmiennie stają po stronie możnego; działającą w tym zakresie maszynierę odsłania przed nami Gołębiowski z taką samą precyzją, jak zabytkowe dziś ferrarskie kuźnie i urządzenia. A niejako polatując na marginesach książki, snują się zapowiedzi jaśniejsze, humanitarne i społeczne, sygnały przyszłej wolnościowej Kuźnicy Kołtąjowskiej i, niestety, spóźnionych, haseł trzeciomałowych.

Wypadek dość rzadki u nas w latach ostatnich — rzecz historyczna, nasuwająca prawdziwie artystyczne wzruszenie, a jednocześnie krzepiąca postępową

*) Eugeniusz Gołębiowski „Dożycie pana Woyszy“. Powieść historyczna. „Czytelnik“, 1955. Str. 336.

postawę czytelnika. Książkę taką cenimy dziś dlatego, że spełnia ona daleko sprawniej rolę polityczną, niż tak zalecane, blade, upozowane fotograficznie, pozbawione krwi — wypracowania o tematyce współczesnej.

W przedmowie do jednej z moich powieści zająłem się tą sprawą w sposób następujący: „...powieść historyczna, podobnie do każdej innej powieści — czy to współczesnej, czy to nawet fantastycznej — może stać się wyrazem autorskich przekonań i przemówić praktycznie do uczuć i myśli czytelnika poprzez dystans czasu i — że się tak wyrażę — poprzez rampę swojej scenicznej akcji“. Otóż właśnie Gołębiowski daje bardzo wybitny wyraz swoim autorskim przekonaniom i „Kronika pana Woyszy“ przemawia do czytelnika daleko bardziej przekonująco, niż niejeden szeroko rozgłaszany utwór współczesny, nie mówiąc już o publicystyce posługującej się wiecowo-propagandowym żargonem. Mało kto w sposób tak artystyczny, a więc najbardziej przekonujący, wyraził straszliwą prawdę o warstwie szlacheckiej w początkach upadku Rzeczypospolitej; nikt serdeczniej niż autor „Dożywocia pana Woyszy“ nie wzrusza nas dzielną,

tragiczną walką, toczoną przez powstającego do życia i do prawa o to życie — protoplastę dzisiejszych górników i hutników. Dlatego w bibliotekach szkolnych i fabrycznych, w świetlicach przy kopalniach i hutach książki Gołębiowskiego zabraknąć nie powinno; jest nie tylko ciekawa, nie tylko spełnia najsurowsze wymagania artystyczne, ale także swoim celnym ładunkiem ideowym utrwała w czytelniku właściwy pogład na naszą przeszłość, a co ważniejsze, dopomaga do właściwego pojmowania rzeczywistości.

Na zakończenie jeszcze dwie uwagi. Gdyby komukolwiek z literatów „lansowanych“ udało się napisać rzecz choć w przybliżeniu tak ładną, jak „Dożywocie pana Woyszy“ Gołębiowskiego, to miałby już tuzin recenzji, nakład podwójny i umowę na wydanie masowe. Dookoła wielu utworów miernych, co najwyżej niezłych, obserwujemy ostatnio nadmiar hałasu, coś w rodzaju „sztucznego tłoku“. Otóż szczególnie ujemnym skutkiem tego rodzaju zamieszania jest zupełne zagłuszanie książek naprawdę wartościowych, do których omawiana książka niewątpliwie należy.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz

Śmierć mieszczanina*)

Leopold Borell umarł. Nie wiem, czy trup nadaje się na bohatera powieści. O! — już tu dotknęliśmy ważnego problemu, problemu, którego jednak postaram się uniknąć w tej recenzji; w jakim stopniu ważne jest to, co umarło, czy ciekawa jest społecznie ceremonia pogrzebowych obrządków.

Leopold Borell spoczywa w trumnie w oczekiwaniu na Sąd Ostateczny. Kwiatkowski nie powołuje do tego jakiegoś kolegium świętych, jest na to zbyt współczesny. Gromadzi tylko nad trumną Borella jego rodzinę, kochankę, znajomych, i każe im snuć monologi. Ciekawy chwyt — zachwyca się Herdegen („Życie Literackie“, nr 51, 1955). Kwiatkowski — perfidnie — odbiera głos samemu oskarżonemu, nielegalnie pozbawia go prawa ostatniego słowa.

Tak więc Leopold Borell zostaje wskrzeszony, więc — zmartwychwstaje siedmiu Borellów: Borell — kochanek (głos ma pani Teresa), Borell — ojciec (głos ma Erazm), Borell — „zacności gość“ (głos ma dozorca Pinkas), Borell — kierownik firmy transportowej (mówi ob. Bujak), Borell — mąż (mówi żona), Borell — syn (mówi matka) i Borell — mieszczanin (mówi literat Gartys). Czytelnik ma obowiązek złożyć z tych siedmiu Borellów — Borella prawdziwego.

(Monologi te mówią o Borellu, ale mówią także coś o samych narratorach. Więc jeszcze na dodatek siedem małych portretów. Krytyk notuje na marginesie: dwuwymiarowość. Dwuwymiarowość nie tyle schematyczna co konwencjonalna. Pinkas jest dozorcą, matka Borella jest aktorką, jego żona — dewotką, pani Teresa — mieszczką kochanką. Obawiam się, że dokład-

nie wszystkich scharakteryzowałem. Jednym słowem! Coś niedobre. Zaraz jednak krytyk zauważa, że przesadził i notuje: „Złagodzić — w imię doskonałych „momentów““).

Jaki jest więc Borell prawdziwy? Borell — mieszczanin. Łatwo to rozpoznajemy. Kariera dyplomatyczna Borella, jego salonik, jego moralność, jego tchórzostwo — znamy to, czytaliśmy Dygata, Brezę, Brandysa. Borell na pewno nie jest tworem nieprzekonywującym. Jest na to zbyt prawdziwy. Ale prawdziwością banału.

Przy monologu Gartysa krytyk notuje: „głos zabiera historia“. Dotąd przemawiali świadkowie obrony i oskarżenia, teraz przemawia prokurator. Zarazem sędzia. Oskarżenie i wyrok.

Gartys miał napisać książkę o Borellu. „To miała być książka o upadku mieszczaństwa. Problem zajmuje mnie od lat. Wielkość mieszczaństwa chyląca się na naszych oczach ku upadkowi. W tobie — mówi Gartys do trupa Borella — widziałem doskonale zawarte wszystkie cechy tego ginącego świata...“

Więc aż tak po prostu? Więc nawet pozbawiono nas już nieskomplikowanej radości domyślenia się?

„Twoja rodzina była piękną reprezentacją mieszczaństwa... Ekspонат wystawowy“.

Ekspонат wystawowy! Naraz zaskakuje myśl: a może Borell potrzebny był Kwiatkowskiemu właśnie jako

*) Tadeusz Kwiatkowski „Pomnik na miarę“, Warszawa, Czytelnik, 1955.

eksponat wystawowy? Jako martwy okaz, zasuszony już coś niecoś w zielniku historii? Jego płaskość — mimo siedmiu urozmaïconych wcieleń — świadczyłaby nieco za tym. Może nie Kwiatkowskiemu, ale Gartyśowi? Może raczej — Kwiatkowskiemu dla Gartyśa?

Bo naraz Gartyś urasta. Jego oskarżenie staje się także samooskarżeniem.

Flaubert nienawidził mieszczan, sam był wielkim mieszczaninem. Ale wiedział o tym i tę świadomość uważał za podstawowy wyróżnik. Gartyś wie o Borellu, nie wie nic o sobie. Subtelny Gartyś nie wie. Wie Kwiatkowski. Piętra świadomości rosną. Świadomość wielowarstwowa. Ale cóż znaczy sam fakt świadomości — czy zmienia coś realnie? Możemy sobie pomyśleć nieskończoną ilość pięter świadomości. Ale nie możemy się zgodzić na nieskończoność wymiarów rzeczywistości. Krąg świadomości jakos się zamyka. Między najwyższą, „n-tą”, jakby powiedzieli matematycy, warstwą świadomości a warstwą „borellowską” można postawić jakiś zasadniczy znak równania. Rzeczywistość jest jednoznaczna. Mieszczanin jest mieszczaninem.

Gartyś protestuje, ale teraz już sam Kwiatkowski skazuje go na śmierć. Jest równie bezwzględny, jak bezwzględny był Gartyś dla Borella. Wielkie „Nie” Gartyśa budzi radosny uśmiech i ciepłą zachętę Herdegena: „Trzeba umierać, panowie”. To się nazywa — tupet.

Trochę żal Gartyśa. Tak bezinteresownie ratuje — swoim dowcipem, sobą — książkę Kwiatkowskiego.

W imię czego Gartyś zostaje skazany na śmierć? W imię pewnej konstrukcji. Konstrukcji rzeczywisto-

ści, wydaje mi się, fałszywej. Błąd polega na utożsamianiu podziału klasowego z podziałem... psychologicznym. Nie można się zgodzić, żeby na przykład, każdy schizofrenik był automatycznie zaliczany do „mieszczanstwa”.

Nie, właściwie nie zamierzam bronić Gartyśa, byłaby to sprawa przegrana, zanadto skompromitował się swoją ucieczką „w stylistykę”. Korzystam tylko z okazji, żeby zwrócić uwagę na pewien fakt, dość łatwy do zauważenia: zanik myślenia w naszej literaturze. Nie chodzi mi o myślenie „w ogóle”, choć i o tym dałoby się coś powiedzieć — chodzi mi tylko o bezmyślność bohaterów. W naszych książkach myślą — „mieszczanie”. Komuniści są bardziej prości, nieco... barbarzyńscy. Przeczytajcie „Troję, miasto otwarte” Brandysa, porównajcie obie części, a zrozumiecie. Sam fakt myślenia staje się wyróżnikiem klasowym. A mnie się wydaje, że ważne jest — co się myśli. Bo myśleć powinien każdy. Nie warto pięknego nałogu myślenia oddawać w pacht mieszczanom.

Wróćmy jednak do książki Kwiatkowskiego. Po prostu — warto czytać czy nie warto? Warto. Mimo mizn banałów, uwaga czytelnika nie „osiada” nigdzie na stałe. Myślę, że to zasługa humoru Kwiatkowskiego. To mocny punkt całej twórczości tego pisarza. Jakoś się żeglujecie na tym jego uśmiechu.

A poza tym — co tu dużo gadać: ani Gartyś, ani nawet Borell — nie umarli jeszcze. Książka Kwiatkowskiego jest aktualną satyrą, a nie tylko ironicznym epitafium.

Janusz Danielał

N O T Y

OTO CYTATA wyjęta z przedmowy do powieści Brunona Jasińskiego „Pałę Paryż”, która ukazała się w r. 1929 w Warszawie nakładem „Roju”: „Bruno Jasiński przedstawia nam w skrótach tak szybkich, że prawie pobieżnych, wszystkie nieszczęścia, katastrofy i kataklizmy, które czekają ludzkość, o ile pozostanie w tym stanie moralności, w jakim się dziś znajduje. Kataklizmy — wedle mniemań autora — przyniosą zwycięstwo pewnej, wyraźnie określonej ideologii społecznej. Ta druga propozycja — o zwycięstwie ideologii, nie jest chyba niebezpieczna, skoro w myśl wierzeń autora ideologia ta przyniesie ludzkości najwyższą miarę szczęścia. Któż w tym życiu na gorzkim, a jednak tak kochanym padole ziemskim nie pragnie szczęścia? Pominąwszy zatem ową drugą propozycję o szczęściu, w które każdemu wierzyć wolno wedle przekonania własnego — pozostaje przed wnikliwością naszą postawiona owa pierwsza przesłanka, mająca dopiero przygotować i sprawdzić drugą, to jest sprawa kataklizmów i katastrof, które nas czekają, o ile pozostaniemy nadal na tym stopniu moralności,

na jakim dziś stoimy. W niepokoju, w trosce, w namiętnej gwałtowności, jakimi otacza autor tę właśnie przesłankę, dopatruję się szczerych i zacnych walorów moralnych prozy Jasińskiego... Fantazja artysty, przepojona zgrozą obecnych warunków istnienia ludzkiego na świecie, nasuwa nam przed oczy skutki, jakie wynikną z naszego egoizmu, chciwości na wszelkie dobro i zatwardziałości wobec cierpienia naszych bliźnich. Uważam, iż jest to właśnie bardzo godną cnotą Jasińskiego, że przejmuje się tymi sprawami, że o nie dba, że go tak trapią, straszą i przerażają. Albowiem — przewidywać, lękać się, niepokoić — to kochać!” Przedmowa ta wyszła spod pióra Juliusza Kadena Bandrowskiego. Czyż nie jest jakimś tragicznym paradoksem historii fakt, że wznowienie książki komunistycznego pisarza w Polsce Ludowej zapowiedziano dopiero w dwunastym roku po wyzwoleniu?

JAKI FAUL ZAKNEBLOWAŁ USTA BRUNONOWI JASIEŃSKIEMU? Okazuje się, że w r. 1947 nazwisko Brunona Jasińskiego nie było jeszcze w Pol-

see Ludowej „trefne”. Ze zanim ukazały się w II wydaniu antologii „Dwa wieki poezji rosyjskiej” (r. 1951) pod przekładami Jasińskiego figlarne eufemizmy: „przekład zbiorowy”, pod tymiż przekładami figurowało w wydaniu I (r. 1947) właściwe nazwisko tłumacza.

W tym samym roku „Nowiny Literackie” (nr 36 i 37) zamieściły wybrane przez L. Pasternaka i J. Spiewaka satyry Jasińskiego, z których jedną zamieszczyliśmy w tym numerze „Kamień”.

— kaj —

W O L N A T R Y B U N A

Otwierając w numerze bieżącym naszego pisma „Wolną Trybunę”, zwracamy się do Czytelników z prośbą o nadsyłanie wypowiedzi na aktualne tematy polityczne, społeczne, kulturalne, gospodarcze itp. Redakcja zamieszczać będzie głosy, które obok wielu słusznych spostrzeżeń i postulatów zawierają poglądy nie zawsze pokrywające się ze stanowiskiem Kolegium Redakcyjnego.

Wypowiedzi wykorzystane w „Wolnej Trybunie” będą honorowane według normalnych stawek.

List żołnierza BCh do Wicemarszałka Sejmu

Do redakcji „Kamień”

Dnia 9 maja br. w „Zielonym Sztandarze” ukazał się na czołowym miejscu artykuł wicemarszałka Sejmu PRL, Józefa Ozgi-Michalskiego, poświęcony sprawom BCh.

Artykuł ten został spowodowany listem otwartym, jaki wysłałem w kwietniu do „Zielonego Sztandaru” i Ozgi-Michalskiego osobiście.

Dziwię się tylko, że Ozga-Michalski, wykorzystując mój list do udowodnienia pewnych tez, przytoczył jedynie niewielkie i specjalnie dobrane fragmenty, przy czym zniekształcił ideologiczną wymowę listu i tym samym moją intencję.

Chodziło mi bowiem o prostą i jasną rzecz, a mianowicie o przywrócenie byłym żołnierzom BCh wiary w słuszność sprawy, o którą walczycy.

Kolego Ozga-Michalski

„Odwiłz”, jaka nastąpiła po XX Zjeździe KPZR, ukazujące się na jej skutek artykuły w prasie dotyczące 10-letniego okresu cienia, jaki padał od kultu jednostki, w którego zaciemnionym świetle wiele jasnych spraw pozostało niewyjaśnionych, zmusza mnie do napisania do Was tych paru słów w formie listu, na które chciałbym, abyście gwoli uspokojenia wielotysięcznych rzesz byłych członków BCh zabrali ozięcalnie głos.

Głos ten powinien rozbrzmieć z trybuny Sejmu Rzplitej, którego jesteście Wicemarszałkiem, głos ten winien znaleźć miejsce na łamach organu Związku Uczestników Walki Zbrojnej o WID, jako pochodzący od członka Zarządu Głównego Związku, oraz winien znaleźć miejsce na szpaltach „Przeglądu Kulturalnego” lub „Nowej Kultury” — bo przecież jesteście chłopskim literatem — w dodatku poczytnym pisarzem.

Niestety, w swoim artykule, ograniczającym odpowiedź do nic nie mówiących ogólników, J. Ozga-Michalski nie postawił sprawy wyraźnie, że ustawowo należy wszystkim rodzinom pozostałym po poległych bohaterach BCh przyznać, a raczej przywrócić prawo do rent i zaopatrzeń przyznanych im przez Wojewódzkie Rady Narodowe w początkach naszej niepodległości.

Zacytowany w artykule „Zielonego Sztandaru” wyraźnie antyradziecki fragment z mikołajczykowski organu kierownictwa BCh „Przez walkę do zwycięstwa” absolutnie nie oddaje prawdy tego, o czym myślała i czym żyła 150-tysięczna armia BCh.

Dlatego też proszę Redakcję „Kamień” o wydrukowanie listu mojego w całości, ponieważ na ustępy pominięte w moim liście Józef Ozga-Michalski nie mógł albo nie chciał dać odpowiedzi.

Jan Gilas („Mahatma”)

Tak samo jak piszący te słowa, ongiś komendant BCh na powiat krasnostawski, byliście czynnym działaczem i żołnierzem BCh Kieleccyżny, zostając przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej po jej wyzwoleniu.

Obydwa wiemy dobrze o zawsze pozytywnej roli BCh i walce, jaką toczyły nasze oddziały z faszystami niemieckimi i rodzimymi w okresie okupacji. Wiemy wszyscy dobrze o współpracy, jaka istniała między nami a oddziałami Gwardii i Armii Ludowej w tym czasie. Żyją jeszcze autorzy i sprawcy tej współpracy, a fakty jej nie zatęrzy się jeszcze w pamięci ludzi, którzy brali czynny udział w bojach stoczonych z okupantem wspólnie — ramię przy ramieniu z żołnierzami GL.

Pamiętamy rok 1944 i 1945, kiedy oddziały nasze brały się z niosącymi wyzwolenie żołnierzami Armii Czerwonej i nowym Wojskiem Polskim,

wkraczającym do Chełma, Lublina, Kielc, Warszawy, Krakowa i innych miast naszej Ojczyzny. Pamiętamy obywateli — jak pamiętają dobrze ongiś chłopscy synowie, dziś ojcowie dzieciom już, jak wbrew rozkazom góry AK i BCh stania z bronią u nogi, czekając wykrawawienia „dwóch wrogów”, biliśmy wspólnie z GL lub sami Niemców, gdzie się dało i jak tylko było można.

Ojczyzna Ludowa uznała naszą walkę jako pozytywny wkład w wyzwolenie Ojczyzny i budowę demokracji ludowej — budowę ustroju — budowę socjalizmu.

Widomą oznaką tego uznania to powierzenie zaszczytnych i odpowiedzialnych funkcji w aparacie państwowym, gospodarczym i społecznym byłym przywódcom BCh. Nazwiska: J. Niecki, Kamieńskiego, Wasze, J. A. Króla, Maślanki i wielu innych są tego dowodem.

Ale... ale przy tych wszystkich blaskach istnieją i cienie. I jeśli dziś J. Piórkowski na łamach „Nowej Kultury”, E. Osmańczyk w „Nowej Kulturze” i „Po prostu” porusza bolesną skądinąd sprawę zapomnienia zasług AK, usiłując odbrzązować istotny i twórczy wkład szeregowych żołnierzy i oficerów AK i sprawę walki o wolność i wyzwolenie, to jakże bardziej bolesną musi być dla Was sprawa typowego przykładu przemilczania i przechodzenia do porządku dziennego od 8 lat nad laktem niesprawiedliwości wyrządzonej żołnierzom, a ściślej mówiąc najbliższym pozostałym po bohaterach BCh.

Mam tu na myśli ustawę Sejmu Rzeczypospolitej z 1948 roku, która pozbawiła wdowy, sieroty i matki, których synowie byli jedynymi żywicielami, rent i zaopatrzeń przyznanych im przez Woj. Rady Narodowe w początkach niepodległości Polski Ludowej.

I tu nasuwają się smutne i bolesne refleksje pod adresem Sejmu, a szczególnie pod adresem przedstawicieli chłopstwa zjednoczonego w ZSL, którego trzonem są właśnie dawni działacze i żołnierze BCh.

Jak można było przyjąć górę BCh w szeregu twórców Nowej Rzeczypospolitej, pozbawiając doły należnego im od Ojczyzny i Rządu prawa do korzystania z zasług przywilejów?

Co za bezduszny i anormalny stosunek naszych przedstawicieli w Sejmie do tej sprawy. Jeden z żołnierzy

BCh będących pod moim dowództwem, mający na utrzymaniu matkę starszą zginął 26 maja 1944 roku w bitwie z Niemcami pod Piotrkówkiem. Padł na posterunku walcząc ramię w ramię z żołnierzami AL o wolność matki Ojczyzny — która okazała się dla jego rodzonyj matki macochą.

Wojewódzka Rada Narodowa — przyznała jej rentę po poległym synu, która dopomagała jej wegetować. Ale niestety — Sejm w cytowanej uchwale pozbawił ją tej renty zaliczając jej syna do organizacji, która była wroga nastawiona do ustroju Polski Ludowej. A przecież na terenie powiatu Krasnostaw nigdy nie doszło do podpisania umowy o inkorporacji BCh w AK. Stało się to tylko dzięki wpływowi Partii na tym terenie. Poświadczą to tacy ludzie jak: Szoł Stanisław („Kol”), Bieniek Sl. („Szela”), ówczesny przywódca ruchu robotniczego i dowódca GL okręgu Lublin.

Po coinięciu rent i zaopatrzeń, popłynęły reklamacje, zwracalem się do posłów zarówno ZSL, jak i PZPR. Jeden z tych ostatnich (nazwisko jego przemilczam) odpowiedział: „No cóż, ja działałem w myśl dyrektyw Klubu, ale przecież wasi posłowie w ZSL głosowali za tą ustawą”.

Tak było, niestety, i pozostaje dotychczas.

Co Wy na to, Wiceprzewodniczący Sejmu Rzeczypospolitej? Co Wy na to, jako dawny dowódca BCh? Co na to ob. Kowalski — Nestor ruchu wyzwolenieckiego lewicy chłopskiej? Przewodniczący ZSL?

Jeśli AK domaga się słusznie przywrócenia pełni chwały swoim bohaterom i słuszności niesłusznej ideologii, a w praktyce niejednokrotnie błędnej drogi politycznej — to co winniśmy zrobić dla Batalionów Chłopskich?

Czas naprawić błędy wynikające z cienia kultu jednostki i błędnych teorii o narastaniu przeciwieństw klasowych w miarę wzrastania socjalizmu. Tysiące żołnierzy BCh na to czekają.

Obok przesłanego listu Wam, przesyłam jego kopię do „Zielonego Sztandaru” z prośbą o publikację, jako tzw. listu otwartego.

Z głębokim poważaniem i koleżeńskim pozdrowieniem
Giles Jan — „Mahatma”

Lublin, dnia 10.IV. 1958 r.

CZYTELNICY POLEMIZUJĄ

Na marginesie artykułu „Nikt nie wiedział” (głos nauczyciela)

Z lekkim rumieńcem zażenowania przeczytałem zamieszczony w 4 (110) numerze „Kamień” artykuł kryptonimowego autora (zar) pt. „Nikt nie wiedział”. Rumieniec ten nie był wywołany niewiedzą, bo już Sokrates..., ale tym, że autor raczył nas (nie piszę tylko w swoim imieniu) do grupy tej zaliczyć. Otóż na wstępie chciałbym się przedstawić. Jestem nauczycielem szkoły, do której chodził Waldemar Augustynowicz i Kazimierz Król. Znam bardzo dobrze pło-

wą czupryną pierwszego i rumianą twarz drugiego z byłych uczniów kl. VIIb Podstawowej Szkoły dla Pracujących Nr 4 w Lublinie mieszczącej się przy ul. Długosza.

Ryszard Nózka był również w ubiegłym roku szkolnym naszym uczniem. Znam jednak oprócz tych, którzy zasiedli niedawno na ławie oskarżonych, jeszcze kilkudziesięciu innych chłopców, o których, sprowo-

kowany wymienionym artykułem, chciałbym powiedzieć kilka słów.

Zacznę od pytania zasadniczego — czy wstydzę się, że nie wiedziałem i na pewno nie wiem jeszcze o wszystkich przestępstwach i wybrykach naszych wychowanków? Nie! Jeśli by „zar“ zechciał być w naszej szkole nauczycielem i zrozumieć tę młodzież, też by się może nie wstydził. Zastnijmy od Ryszarda Nózki, który był, jak dowiedzieliśmy się z prasy, organizatorem szajki. Przykład tego chłopca wcale nie jest wyjątkowy, więc pozwolę sobie na przytoczenie kilku faktów, które naświetlą nie tylko tę sprawę, ale rzucą nieco światła niemal na całą młodzież, którą uczymy.

Czy wychowawczynie klasy piątej, do której zaczął chodzić wymieniony uczeń, nie wiedziały, że w klasie giną drobiazgi i że sprawcą tego jest Nóżka? Nie tylko wychowawca klasy piątej, ale całe grono nauczycielskie o tym wiedziało. Jakże mieliśmy środki oddziaływania? Próbowaliśmy nań wpłynąć dobrym słowem, ale gdy to nie pomogło, postanowiliśmy odizolować go od reszty młodzieży. Zresztą miał on na swoim koncie jeszcze kilka chuligańskich wybryków, więc uzasadnienie naszej decyzji wydawało się wystarczające, tym bardziej że widzieliśmy duży jego wpływ na dwu wymienionych uprzednio współoskarżonych. Zawiadomiliśmy o tym rodziców. Zaraz następnego dnia zjawiła się matka Ryśka. Przekonała nas. Cofnęliśmy decyzję, bo argumenty jej były bardzo silne. Opowiedziała nam bowiem historię swego starszego syna, który był już karany za kradzież. To samo groziło młodszemu. Szkoła była jedynym hamulcem. Niestety, mimo wszystko uczeń ten nie potrafił dostosować się do regulaminu szkolnego. Po ukończeniu klasy szóstej musieliśmy go ponownie usunąć. Notatki donoszące o wykryciu zorganizowanej szajki złodziejskiej, na której czele stał Ryszard Nóżka, potwierdzają siuszość tego kroku.

Jak sama nazwa wskazuje, szkoły, o których tu mowa, są przeznaczone wyłącznie dla pracujących. Mówią o tym również zarządzenia i instrukcje ogórne. W praktyce jednak charakter tych szkół jest nieco inny. Stały się one, jak słuchy chodzą (nie tylko w Lublinie, ale w całej Polsce), szkołami specjalnymi, dla młodzieży tzw. „bardzo trudnej do prowadzenia“, która najczęściej otarła się o przestępstwo. Inni — to upośledzeni umysłowo lub niedorozwinięci, którzy nie mogą dać sobie rady w szkole normalnej. Tak jednego jak i drugiego elementu szkoły normalne bardzo chętnie się pozbywają.

Umożliwia to skuteczniejsze oddziaływanie wychowawcze na dzieci pozostałe. Nie można powiedzieć, żeby kierownicy szkół rannych nie troszczyli się o los wydalonych. Najczęściej długo przed usunięciem grożą „szkołą wieczorową“, a gdy uczeń odchodzi, dają mu dobitną radę: „idź do popołudniówki, tam może dasz sobie radę“. Tego samego dowiadują się ich rodzice. Cóż mają robić? Zwracają się do nas. Może źle robimy, że przyjmujemy tych uczniów, bo nie zawsze jesteśmy pewni, czy któryś z nich nie kradnie.

Mamy zasadniczo dwa wyjścia: albo przyjąć, albo zdecydowanie powiedzieć „nie“. Zdajemy sobie z tego sprawę, że gdy przyjmiemy go do szkoły, możemy się narazić w każdej chwili na różne nieprzyjemności, jeśli zaś zamknijemy przed nim drzwi naszej szkoły, pozostanie mu tylko ulica. Innego typu szkół już nie ma, chyba zakłady wychowawcze, ale tam można się dostać tylko za określone w kodeksie karnym przestępstwo. Przyjmujemy więc tych, którzy do nas przychodzą z rannych szkół mówiąc: „niech zostanie, będzie miał jakąś opiekę i może coś uda nam się jeszcze z niego zrobić“. Jednak nie zawsze się udaje. Zresztą nasze środki wychowawcze są bardzo ograniczone: raz na miesiąc film, wycieczki do teatru, pogadanka o skutkach chuligaństwa nie zostawiają trwałszego piętna. Przede wszystkim nakłaniamy naszych uczniów do znalezienia stałego zajęcia, które zabrałoby im czas przed południem, no i wdrożyło w dyscyplinę społeczną pracy. Oczywiście nie rezygnujemy nigdy z dysponowanych przez nas środków własnych. Najlepiej zobaczymy to na przykładzie drugiego z oskarżonych, Augustynowicza. W tym wypadku ma słuszość „zar“, oskarżając nas o to, że nie wiedzieliśmy o jego kradzieżach. Trudno, nie o wszystkim można wiedzieć. Jednak czy nie wiedzieliśmy, że nasz uczeń jest zdolny do czegoś podobnego? We własnym zakresie dysponujemy oprócz osobistego oddziaływania na uczniów tylko dwoma środkami wychowawczymi, tj. pochwałą i naganą z usunięciem ze szkoły łącznie. W ubiegłym roku za nieodpowiednie zachowanie się udzieliliśmy Waldkowi kilkakrotnie nagany. (Jego przyjaciel, Ryszard Nóżka, jak już mówiliśmy, został usunięty). Przyjeliśmy go do klasy VII z zastrzeżeniem. Środek ten odniósł znaczny skutek. Augustynowicz w pierwszym okresie znacznie poprawił swoje zachowanie, tak że zyskał zaufanie młodzieży i został wybrany na przewodniczącego rady uczniowskiej.

Inicjatywę tę z całym sercem wszyscyśmy poparli, a przy najbliższej okazji wyróżniliśmy go pochwałą i książką.

Trudno, zawiedliśmy się, jak zawiedliśmy się na innym 16-letnim uczniu kl. V, który ma zostać niedługo ojcem, a jest już chyba od kwietnia „mężem“ jednej (18-letniej) z naszych uczennic. Musieliśmy go usunąć, bo mimo naszych usiłowań wykorzystania dysponowanych środków nie udało się nam nakłonić go do normalnego współżycia w kolektywie klasowym i szkolnym.

Czy to są sporadyczne wypadki. Niech na to pytanie odpowie lista przestępstw i wykroczeń popełnionych przez naszych uczniów w br. szkolnym.

1) Dwu uczniów z kl. VII b złapano w jakiejś melinie wykrytej przez MO na Czechowie. Wrócili do szkoły z ogolonymi czuprynami. Środek ten okazał się bardzo dobry, bo obydwaj prawdopodobnie dzięki temu ukończą w br. klasę VII.

2) Kilku uczniów zasiadło na ławie oskarżonych za rozbijanie kloszy i żarówek w parku miejskim.

3) Dwu wymienionych poprzednio uczniów należało do szajki rabunkowej.

4) Wspomniane „małżeństwo” (on lat 16, ona 18).

5) Jeden z uczniów przyszedł do szkoły tak pijany, że trzeba było go usunąć.

6) Doniesiono nam, że jedną z naszych uczennic (14-letnią z klasy VI) widziano w parku sławinkowskim w zupełnie niedwuznacznej pozycji z piętnastoletnim kolegą.

7) Kilkoma naszymi uczniami opiekuje się kurator wyznaczony przez sąd dla nieletnich.

Oczywiście nie bierzemy tu wcale pod uwagę drobnych wykroczeń, których lista byłaby może nieco dłuższa.

Doradźcie nam, literaci, pisarze i społecznicy, jak mamy podejść do tej młodzieży? Co możemy z niej zrobić stykając się z każdą klasą tylko cztery razy w tygodniu? Zresztą musimy ciągle walczyć o frekwencję. Wysyłamy do zakładów pracy i rodziców dziesiątki zawiadomień, ostrzeżeń, upomnień, które zresztą wcale nie skutkują, bo na wywiadówce mamy od 2 do 4 przedstawicieli instytucji i garstkę rodziców, którzy mają często bardzo dziwny stosunek do szkoły, swoich dzieci i nauczycieli.

Czy mamy poświęcić jednostki lekcyjne na cele wychowawcze? Zajrzyjcie do naszych programów nauczania, jak są przeładowane, bo sporządzono je przy pomocy bardzo prostego rachunku: ponieważ na przeobrażenie danego materiału w szkole normalnej przypada np. 8 godz., to ze względu na mniejszy przydział godzin dla każdego przedmiotu w szkołach naszego typu, trzeba dany materiał wyczerpać w przeciągu 5 lub 4 jednostek lekcyjnych.

O nie, nie tylko musimy wyczerpać dany materiał, ale na tej samej godzinie trzeba go utrwalić, bo w praktyce nie możemy najczęściej liczyć na pracę domową ucznia.

Chciałem zwrócić uwagę na realne, konkretne trudności, z którymi spotykamy się na każdym kroku. Wiemy dużo więcej o naszych uczniach, niż sądzi kryptonimowy autor wspomnianego na początku artykułu. Czy powinniśmy się rumienić mając takich wychowanków. Czujemy nieraz „dumą”, że z nimi pracujemy, choć zdajemy sobie sprawę z tego, że praca ta przekracza bardzo często nasze siły i możliwości. Możemy mieć jednak do wielu pretensję, że pozostawiono nas na własne siły.

Zwracaliśmy się o pomoc i opiekę do MO, ale niestety, też nic nie mogliśmy wskórać. O losie naszych uczniów, którzy zasiadają na ławie oskarżonych dowiadujemy się od ich kolegów, lub z prasy, bo sąd dla nieletnich nas o tym nie zawiadamia. Z tego też względu nie wiedzieliśmy, kiedy odbyła się rozprawa wymienionych na wstępie byłych naszych uczniów. Nie wiemy, czy z tego powodu tylko my powinniśmy się rumienić.

Wymieniona lista przestępstw i wykroczeń chyba jest dowodem, że potrzebujemy stałej, troskliwej pomocy lekarzy specjalistów, MO, prawników, a w szczególności tych, których nazywają „inżynierami ludz-

kich dusz”. Nie wymieniam tu celowo ZMP, bo jak dotychczas pomocy mimo prób nawiązania kontaktu z Zarządem Miejskim nie otrzymaliśmy.

Wiemy, że łatwiej jest pisać, siedzieć za biurkiem, czy być widzianym na sali sądowej podczas rozprawy, ale spróbujcie, literaci i nieliteraci, wyciągnąć do naszych uczniów rękę.

Bardzo chętnie przyjmiemy waszą zwykłą, szarą pomoc. Nie bójcie się naszych chłopców. Nie są oni mimo wszystko z natury źli, ale dźwigają tylko na sobie wiele różnego rodzaju chorób, które jeszcze ciągle toczą nasze społeczeństwo. Są oni na te choroby z różnych względów najmniej odporni, więc często się im poddają. Zdajemy sobie z tego sprawę, że z każdego z naszych młodych uczniów może wyrosnąć przestępca, ale widzimy, że w większości wypadków nasza praca nie idzie na marne. Cieszymy się z tego, że udaje się nam uratować niejednego pełnowartościowego obywatela Polskę Ludową, który z zapalem będzie w przyszłości budował socjalizm.

Na terenie Lublina mamy 5 szkół. Bardzo chętnie was do współpracy wychowawczej przyjmiemy.

Przy tej okazji chciałbym upiec jeszcze drugą pieczeń. Ci, o których mówiłem, są, a raczej powinni być, tylko cząstką naszych wychowanków. Zasadniczy trzon naszych szkół powinni stanowić ludzie dorosli lub starsza, już pracująca młodzież. Co roku chodzimy i wysyłamy do każdego zakładu pracy zawiadomienia o rekrutacji do szkół dla pracujących. Owoce tych wszystkich wysiłków są wprost śmieszne. Oto przykłady: Wydział Oświaty przy PMRN zażądał od poszczególnych zakładów pracy wykazów z ilością ludzi nie posiadających podstawowego wykształcenia. Okazało się, że w samym ZBM znalazło się 500, słownie: pięćset osób. Zorganizowane tu z trudem w bieżącym roku szkolnym dwie klasy liczą obecnie 10, słownie: dziesięciu uczniów. W FSC przy dokładniejszych obliczeniach uzbierałoby się około trzystu. W zorganizowanych tam klasach eksponowanych uczy się kilkanaście osób. Co się dzieje w pozostałych kilkudziesięciu zakładach, z których połowa w ogóle nie rozczyła nadesłać wykazów? Pytamy, czy sprawa dokształcania mas robotniczych jest tylko sprawą nas, nauczycieli i Wydziałów Oświaty? I tu znów czekamy na pomoc całego społeczeństwa. Czekamy, chociaż nauczeni smutnym doświadczeniem, nie wierzymy zbytnio w skuteczność naszego ciągle powtarzanego apelu, który staje się przysłowiowym „głosem wołającego na puszczy”. Nie wierzymy nawet w to, że na tę wypowiedź znajdzie się papier, by ją opublikować, tak, jak już kiedyś nie znalazło się miejsca na króciutki artykułik wysłany do „Sztandaru Ludu”. Mógłby on nam dużo pomóc w zorganizowaniu szkoły w Hotelach Robotniczych w ZBM. Trudno, są może bardziej ważne sprawy. Będziemy więc nadal robili to, na co nas stać, ale prosimy, jeśli ktoś na przyszłość będzie o nas lub o naszych uczniach pisał, niech chociaż najpierw z nami porozmawia.

Józef Wiesław Zięba